POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień. **Dnia 18-go stycznia 1941r.** **Rok III. Nr. 3**

Nieprzemijające wartości powstania 1863 r.

HASŁA I CZYNY

"To, co głosimy nie jest piękną tylko i czczą formą, ale wynikiem naszych przekonań, prac i trudów całego życia, pojęciem tak stałym i niezłomnym, że za nie w każdej chwili też życie dać jesteśmy gotowi i co dzień je narażamy"—słowa te, wypowiedziane przez Romualda Traugutta i na wieki przypieczętowane jego śmiercią męczeńską na stokach cytadeli warszawskiej w dn. 5 sierpnia 1864 roku, ilustrują w pełni głębię ideową ruchu styczniowego i jego uczestników, wskazują na ścisły i nierozłączny związek działania powstańców z głoszonymi przez nich hasłami.

Powstanie polskie 1863-64 r. było rzadkim w dziejach ludzkości ruchem, w którym treść pokrywała się z formą, gdzie hasła wypisane na sztandarach miały całkowite pokrycie w czynach ludzi, wysuwającym te hasła.

"REWOLUCJA MORALNA"

Ta romantyczna ideowość ruchu styczniowego była następstwem głębokiego przewrotu moralnego, jaki dokonał się na ziemiach Królestwa po klęsce powstania listopadowego, w okresie gdy ucisk rosyjski szalał z zastraszającą mocą.

Naród, przeżywający ciężką niewolę, krzywdzony na każdym kroku przez obcych brutalnych żołnierzy, ustawicznie narażony na bezprawia i gwałty, wyczuwał moc, płynącą z wielkich idei niepodległości i wolności, nie przestawał wierzyć, iż sprawiedliwość dziejowa musi go znowu powołać do życia. Umęczony naród wytworzył właściwą dla tych warunków ideologię mesjanizmu, ideologię, która kazała wierzyć, że Polska umarła dla zbawienia narodów, jak Chrystus skonał na krzyżu dla zbawienia ludzkości.

Ten polski mesjanizm nie stanowił własności tylko wielkich romantyków Mickiewicza czy Krasińskiego, jaśniał zarówno w literaturze jak kwitł w całym narodzie. Zrębem tej ideologii była wiara, że moc ducha, tkwiąca w narodzie—moc rozwijana—zwalczy gwałt, że posłannictwo Polski, jej rola historyczna polega na wskazaniu narodom nowych dróg dziejowych, które poprowadzą do ogólnej sprawiedliwości, że dla tych celów Polacy ponoszą duże ofiary i muszą ponieść jeszcze większe. Polacy wypełnią swą wielką rolę, pójdą na trudy, złożą w ofierze swe życie, lecz wywalczą swej ojczyźnie niepodległość, i zapewnią narodom panowanie szczytnych ideałów, które przyniosą ogólne szczęście.

Uzewnętrznieniem tych romantycznych nastrojów była tzw. "rewolucja moralna." Jej cechę charakterystyczną stanowiły w 1860-1861 r. manifestacje religijno-patriotyczne, wyjątkowe demonstracje, podczas których uczestnicy żarliwie oddawali się modłom, nie zważając na kule i bagnety żołnierzy rosyjskich. Padały setki niewinnych ofiar, umacniały one jednak ducha narodowego.

Manisfestacje te unaoczniły, iż "rewolucja moralna," jest tylko pierwszym etapem drogi wyzwolenia, etapem koniecznym, lecz nie jedynie rozstrzygającym, że musi nadejść etap następny—czynna walka i rozprawa orężna.

Społeczeństwo przygotowane było do ofiar i do zaciętej, bezkompromisowej walki o swe ideały.

IDEAŁY POWSTANIA

22 stycznia 1863 roku przekuwa tę tęsknotę do ideałów w czyn potężny, w ciężką walkę o urzeczywistnienie haseł, wzywa naród do trudów i znojów.

Manifest Tymczasowego Rządu Narodowego, nawołujący Polaków do walki, zawierał program ideowy powstania. Hasłami jego była niepodległa potężna Polska, wolność, równość, braterstwo i ziemia dla ludu. Walczyć miano w imię niepodległej Polski, opartej na głębokich zasadach sprawiedliwości chrześcijańskiej, Polski, w której panowałyby równe prawa dla wszystkich obywateli niezależnie od pochodzenia i wyznania, gdzie o rządach stanowiliby wszyscy obywatele i gdzie mieliby zapewnioną wolność. Manifest dał wizję Niepodległej, Demokratycznej Polski.

Należy przytym podkreślić, iż hasła te nie były na ogół w żadnym państwie urzeczywistnione, że w Stanach Zjednoczonych zatriumfują dopiero po paru latach, po wojnie secesyjnej, że Wielka Brytania znajdowała się wtedy jeszcze przed reformami 1869 r., że Francja Napoleona III wręcz je odtrącała, nie wspominając już takich państw, jak Prusy, Austria, lub Rosja.

ZIEMIA DLA WŁOŚCIAN

Ogłoszono jednocześnie dekret w sprawie włościańskiej, przeprowadzający szeroką reformę rolną, tak wówczas konieczną dla uzdrowienia stosunków społecznych w Polsce. Włościanie otrzymali na własność ziemię, którą dotychczas użytkowali z ramienia właścicieli ziemskich. Ziemia przestawała być od tej chwili własnością nielicznej warstwy ziemiańskiej, a miała należeć do tych, którzy na niej pracowali. Nie zapomniano i o tzw. komornikach i małorolnych—Rząd Narodowy gwarantował im przydział ziemi z zasobów państwa.

Powstanie Styczniowe rozwiązywało radykalnie ciążące od lat na polskich stosunkach, palące zagadnienie włościańskie.

LUDZIE POWSTANIA STYCZNIOWEGO

Te hasła wypisali powstańcy na swych sztandarach i dla nich poszli na krwawe trudy. Służba powstańca była ciężka, należało poświęcić jej całe swe życie, dobrobyt i karierę. Nagrodą za nią miał być triumf umiłowanych ideałów—lub śmierć i więzienie.

Funkcjonariusze powstańczy nie otrzymywali żadnych poborów, a wojsko powstania rzadko kiedy pobierało należny żołd, gdyż władzom powstańczym brak było środków. Nikogo to zresztą nie przejmowało. Powstanie nigdzie nie zostało zakłócone materialnymi interesami. Wyższe stanowisko, wyższa godność w hierarchii powstańczej nie przynosiły żadnych materialnych korzyści, nie przynosiy nawet i głośniejszego uznania, gdyż przeważnie względy konspiracyjne nie pozwalały na ujawnianie nazwisk. Zaszczytne stanowiska pociągały za sobą tylko zwiększoną odpowiedzialność i ciężkie trudy.

Ludzie powstania styczniowego życie swe nierozerwalnie złączyli z ideałami, które kochali. Nie szukali doraźnej nagrody, pragnęli tylko zwycięstwa swej wiary. Tysiące poległych, powieszonych, rozstrzelanych i zesłanych na ciężkie roboty do kopalń syberyjskich świadczą o tym bezprzykładnym ideowym napięciu powstańców. Jeno przyblakłe akta polskich archiwów, warszawskiego, wileńskiego i grodzieńskiego oraz archiwów rosyjskich, kijowskiego, tomskiego i omskiego przechowują nazwiska tych nieznanych na ogół, właściwie bezimiennych bohaterów.

Wybitni działacze ruchu dawali przykład tej ofiarnej, bezinteresownej służby. Nieugięty dyktator powstania Romuald Traugutt rzuca swój dom rodzinny i szczęście domowe, by po rocznej, pełnej codziennego, cichego bohaterstwa pracy zginąć z wyroku wroga; Bosak Hauke, spowinowacony z europejskimi dworami i panującymi, odtrąca szlify pułkownikowskie i bajeczną karierę, by walczyć na czele nieregularnych oddziałów powstańczych, a po klęsce, nadal pracować w emigracyjnym niedostatku dla sprawy, którą cenił nad życie; Zygmut Sierakowski rezygnuje z adiutantury rosyjskiego ministra spraw wojskowych, z bólem serca zostawia na poniewierkę ukochaną śliczną młodziutką żonę i walczy nieustraszenie aż ginie śmiercią męczennika; Zygmunt Padlewski, oficer gwardii rosyjskiej, rzuca błyszczące salony Petersburga i jako powstańczy wojewoda płocki ginie od kul rosyjskiego plutonu egzekucyjnego; ojciec Zygmunta Władysław, właściciel majątku ziemskiego ginie z rąk włościan, walcząc o uwłaszczenie włościan; grupa młodzieży ziemiańskiej z Jurewiczem na czele, idzie na pewną śmierć, by głosić "Złotą Hramotę"—wolność i ziemię dla ukraińskich chłopów i śmierć tę znajduje pod Sołowiówką; kilkudziesięciu studentów warszawskich z Janowskim na czele ginie śmiercią walecznych, osłaniając odwrót Mierosławskiego, gdyż dla sprawy powstania w myśl ich zasad życie "czerwonego generała" więcej ważyło, niż ich własne; na dziedzińcu fabryki Ewansa w Warszawie pada pięciu rozstrzelanych przez Rosjan robotników z Tycem na czele, śmierć jednak tych przywódców powstańczego koła robotniczego umacnia tylko ich kolegów-robotników w dalszej pracy na rzecz powstania; na pewna śmierć idzie oddział "Dzieci Warszawskich" kpt. Remiszewskiego, by zamanifestować, że i pod Warszawą toczą się boje i śmierć tę większość znajduje pod Budą Zaborowską; rzuca rodzinę i majątek ziemski sześćdziesięcioletni Czachowski, obywatel ziemski, by śmierć ponieść w walce o niepodległość kraju i prawo włościan do ziemi; śmiercią płacą ksiądz Brzóska i ksiądz Mackiewicz, walcząc na czele oddziałów chłopskich za wolność kraju i ludu; bez zmrużenia oczu oddaje swe życie za hasło niepodległości i równości Rawicz, jeden z bogatszych bankierów Królestwa.

Na setkach stron można by opisywać dowody tego ofiarnego męstwa byłych oficerów zawodowych wojska rosyjskiego, pruskiego czy austriackiego, którzy zrezygnowali ze swych stopni i nierzadko walcząc pod dowództwem studentów czy rzemieślników, ginęli ofiarnie na polu walki; młodzieży ziemiańskiej, co porzuciła swój żywot beztroski, by życie oddać za kraj i dobrobyt ludu włościańskiego; studentów, rezygnujących z uśmiechającego się do nich życia, by walczyć w imię kraju i demokracji; rzemieślników, robotników, walczących ofiarnie za niepodległość i wielkość swej ojczyzny.

Poważny, znany architekt warszawski Krajewski, powstańczy dyrektor wydziału spraw wewnętrznych, który ginie razem z Trauguttem za swą wiarę, a który łatwo był mógł ocalić swe życie, okazując tylko skruchę, lub młodziutki student Waszowski, ostatni powstańczy naczelnik Warszawy ten, który już po śmierci Traugutta, już po upadku powstania z małą grupką współpracowników podtrzymuje ruch warszawski, by zamanifestować, iż Warszawa nie wyrzeknie się woli walki i schwytany mężnie idzie na szubienicę, obaj ci wielcy powstańcy nie stanowią wyjątków—reprezentują ogół uczestników narodowego powstania 1863-1864 roku.

AUREOLA RZĄDU NARODOWEGO

Powstanie opierało się na nieprzemijających wartościach moralnych, a jaskrawym, widocznym tego symbolem była przede wszystkim władza Rządu Narodowego, który opierał się na tajnej organizacji, rozgałęzionej w całym kraju, choć kraj ten posiadał jawne władze, ustanowione przez rząd rosyjski wsparte na silnej policji i przeszło stutysięcznej armii rosyjskiej.

Skład tego Rządu Narodowego nie był społeczeństwu znany, funkcjonariusze jego byli zakonspirowani. Mimo to społeczeństwo całkowicie podporządkowało się tajnemu Rządowi Narodowemu, a bojkotowało rząd obcy bez względu na represje. Tęsknota i zaufanie do rządów własnych była tak wielka i tak głęboka, że bez szemrania słuchano rozkazów zaoptarzonych jedynie w pieczątkę władz powstańczych, wpłacano podatki i daninę majątkową, wykonywano zlecenia, narażając się na niebezpieczeństwa. Ta wszechmoc pieczątki, jako symbolu własnej władzy narodowej, świadczyła o sile moralnej społeczeństwa.

ŻYWOTNOŚĆ POWSTANIA I ORGANIZACJA CYWILNA

Nie tylko postawa moralna powstańców i społeczeństwa, nie tylko śmiałość i szlachetność wysuwanych ideałów, lecz i żywotność ruchu jak również zmysł organizacyjny powstańców były zadziwiające.

Powstanie trwało prawie dwa lata, a przecież walczono z potężnym imperium, walczono na terenie całkowicie opanowanym i zorganizowanym przez wroga.

Brakowało powstańcom broni i pieniędzy. Mimo to na samym terenie Królestwa (z około 5-milionową ludnością) stoczono do tysiąca bitw i potyczek, aż zagranicą głośne były echa Siemiatycz, Węgrowa, Zyrzyna, Opatowa, Św. Krzyża, Miechowa, i sławna kampania Langiewicza czy Hauke Bosaka. Krew lała się na całej przestrzeni od Kalisza aż po Dyneburg.

Podstawą ciągłości ruchu była precyzyjna organizacja cywilna. Nie znało powstanie spokojnych tyłów i burzliwego frontu. Zaplecze walk orężnych stanowiła organizacja konspiracyjna, narażana na niemniejsze niebezpieczeństwa, niż te, które grożą w polu, wymagająca niemniejszych, a często większych wysiłków i napięcia nerwów.

Cywilna organizacja powstańcza obejmowała cały zabór rosyjski, sięgała i do zaborów pruskiego i austriackiego, miała swe agendy we wszystkich państwach. Rozporządzała na ziemiach, objętych ruchem, własną administracją, własną tajną policją i żandarmerią narodową, posiadała komitety opieki nad rodzinami powstańców; komisje podatkowe i sąd powstańczy. Utrzymywała ona ciągłość ruchu i łączność, organizowała oddziały powstańcze, uzupełniała je, zaopatrywała w broń i amunicję i wspomagała je. Rzucała do walki wciąż nowe oddziały, które przelewały krew w imię swych ideałów.

ARMIA POWSTANIA

Tę nieregularną armię, złożoną z byłych wojskowych rosyjskich, pruskich i austriackich, z wychowanków polskiej emigracyjnej szkoły wojennej, z rzemieślników, inteligentów, robotników, z młodzieży ziemiańskiej, szlachty zagrodowej i włościan, rozbitej na poszczególne, nie utrzymujące ze sobą przeważnie kontaktu "partie," jednoczyły wspólna wiara, wysoko pojęte braterstwo i głęboko idealny charakter.

Armia powstańcza urzeczywistniła te wartości, które z mocą w jednym ze swych listów do gen. Bosaka wypowie nieugięty Traugutt: *"Żołnierz polski powinien być prawdziwym żołnierzem Chrystusa . . . Rząd Narodowy patrzy na wojsko nie tylko jako na obrońców kraju, ale zarazem jako na pierwszych i najwierniejszych stróżów i wykonawców praw i postanowień przez Rząd Narodowy ogłaszanych, a przede wszystkim praw nadanych ludowi polskiemu na mocy manifestu Rządu Narodowego z dnia 22 stycznia."*

Edmund Oppman

DOWBORCZYCY

W styczniu roku 1918 przypadło największe nasilenie walk z bolszewikami, toczonych przez I Korpus Wojsk Polskich na Wschodzie, pod dowództwem generała Józefa Dowbor-Muśnickiego w rejonie Mińsk-Bobrujsk-Mohylew.

Młodzież nasza wojskowa, a po części i szerszy ogół, o I Korpusie wie mniej, niż by wiedzieć należało, w oficjalnych publikacjach krajowych chętnie omijano ten ważki moment organizacyjno-wojskowy i historyczny. Nie tak dawno jeszcze miano Dowborczyka utożsamiano z politycznym wyznaniem wiary. Jeżeli tak było, spowodował to stosunek przeróżnych władz do Dowborczyków i do ich koleżeńskiej organizacji oraz w znacznej mierze stosunek tychże władz do zmarłego przed paru laty, niezapomnianego dowódcy Korpusu.

Gdy zeszła wojna światowa przecięła Polskę pasem frontu, czyniąc jej pola polem bitew, znaczna część narodu przeciwstawiła się nawet chwilowej współpracy wojskowej z mocarstwami centralnymi. Wyrazem militarnym tego stanowiska, wiążącego odbudowanie Polski ze zwycięstwem Ententy, byli we Francji Bajończycy, których pamięć obchodziliśmy przed rokiem na wzgórzu La Targette we Flandrii, w Kongresówce zaś—Legion Puławski.

Formował się ten Legion z wielkimi trudnościami. Powstał żywiołowo, bez podstawy, jaką dla Legionów w Małopolsce stanowiły organizacje strzeleckie; nie miał wodza tej miary, co Józef Piłsudski, ani przygotowanych do dowodzenia własnych oficerów. Władze rosyjskie od początku traktowały go nieufnie, później zaś wręcz wrogo. To wpłynęło na ochłodzenie nastrojów w społeczeństwie, lękającym się zresztą walki bratobójczej między dwiema polskimi formacjami. Tylko mocne przekonanie o słuszności sprawy spowodowało, iż Legion przetrwał. Przebył odwrót rosyjski z Polski, nie dał się rozformować, mimo licznych zakusów w tym kierunku. Ogromny procent inteligentów, jaki posiadał w szeregach, dawał mu wielką odporność ideową.

Po krwawych i chlubnych bojach, jakie piechota i kawaleria Legionu, przeważnie celowo dzielona, stoczyła na Białejrusi, władze rosyjskie zgodziły się wreszcie na utworzenie polskiej brygady strzelców oraz dywizjonu kawalerii. Była to jednak zgoda nieszczera, unicestwiana ciągłymi trudnościami.

Tak przeszedł rok 1915 i 1916. Dopiero wybuch rewolucji rosyjskiej umożliwił dalszy rozwój polskich sił zbrojnych. Wobec proklamowanej zasady samostanowienia narodów, wchodzących w skład państwa carów, Polacy zjechali się w Piotrogrodzie na olbrzymi zjazd wojskowych-Polaków, obesłany przez wszystkie fronty i okręgi. Zjazd ten wyłonił Naczelny Komitet Wojskowy Polski ("Naczpol"), pod przewodnictwem dzisiejszego Prezydenta Rzeczypospolitej, Władysława Raczkiewicza, wówczas chorążego rezerwy, i postanowił formowanie wojska polskiego, wydzielonego z rozkładającej się armii rosyjskiej. Hasłem był powrót do kraju z bronią w ręku—walka orężna z Niemcami i Austriakami, okupującymi Polskę.

Mogła była powstać olbrzymia siła, kilkaset tysięcy doskonale uzbrojonego żołnierza. Jednakże nie zdołano osiągnąć pełnej zgody. Lewica bała się przeciwstawiać wojsko polskie w Rosji Legionom po tamtej stronie frontu, nie wiedząc o głębokim kryzysie przeciwniemieckim, jaki już Legiony przeorywał. Radykalniejsze elementy poddały się agitacji bolszewickiej, która ideę armii polskiej w ogóle zwalczała. Prawica była za słaba, aby wolę swoją narzucić. Wynikło stąd rozwiązanie cząstkowe: zostawiono wojskowym-Polakom wolną rękę, tworząc formacje z tych, którzy się do nich zgłoszą. Rzecz prosta, że "Naczpol" nie miał innej egzekutywy, prócz moralnej.

Takie czyny bojowe, jak obrona Stanisławowa i bitwa pod Krechowcami, stoczona przez pułk ułanów polskich pod dowództwem bohaterskiego płk. Bolesława Mościckiego, miały wartość werbunkową najwyższego gatunku. To też, mimo przeciwdziałania, żołnierze garnęli się do szeregów. Powołano na dowódcę generała porucznika Józefa Dowbor-Muśnickiego i polecono mu tworzyć na Białejrusi korpus, oparty, jako o trzon, o polską brygadę strzelecką i wsławionych bitwą Krechowiecką ułanów.

Dodatkowo, dla ułatwienia formowań, drugi korpus miał tworzyć na Ukrainie gen. de Henning-Michaelis, zaś trzeci na Besarabii—gen. Stankiewicz.

Generał Dowbor-Muśnicki okazał się świetnym organizatorem. Niebawem miał pod rozkazami w rejonie Mińska co raz liczniejsze oddziały, które oczyszczał od komunistycznej zarazy. Żołnierze przybywali z daleka, jak mogli; z pod Odesy w konnym szyku przymaszerował szwadron rtm. Plisowskiego, stając się zawiązkiem pułku 3 ułanów.

Gdy w styczniu roku 1917 bolszewicy zażądali wprowadzenia w korpusie ustroju komitetowego, zdając sobie doskonale sprawę z rozkładowego znaczenia tej reformy, konflikt dojrzał. Generał odmówił; bolszewicy przecięli dostawę żywności. Generał postawił ultimatum; rozpoczęła się wojna.

Była ona krwawa i nieubłagana. Korpus został przez bolszewików wyjęty z pod prawa, a konieczność zdobywania produktów na ubogiej wsi białoruskiej użyto za sposób do zrewoltowania ludności.

W tych warunkach koniecznością stało się zdobycie podstawy działania. Stała się nią twierdza Bobrujsk, z ogromnymi składami materiału wojennego dla całego rosyjskiego zachodniego frontu. Bobrujsk zdobyto w ciągu jednej nocy, poczym zaczęto rozszerzać sferę bezpośredniego władania. Walki o wsie i węzły kolejowe kosztowały wiele wysiłku i ofiar, ale zostały uwieńczone powodzeniem. W końcu wyparto bolszewików z Mińska.

Zeszło się to w czasie z nową ofensywą, wkraczającą, jak w masło, w niebronione przez Rosjan ziemie. I Korpus, mający w około pożar bolszewizmu, stanął oko w oko z potęgą niemiecką, z t. zw. Ober-Ostem.

Generał Dowbor-Muśnicki już przedtym starał się o nawiązanie łączności z krajem; radio i lotnictwo odgrywały wówczas jeszcze minimalną rolę. Wysłana przezeń do Brześcia ekspedycja dotrzeć tam nie zdołała, a stojący na jej czele płk. Mościcki poległ śmiercią żołnierza. Niemcy wszakże zachowali się z początku poprawnie: zawarli z Korpusem umowę delimitacyjną, ustalającą granice okupacyjne. Zgodzili się również na wysłanie do Warszawy delegacji Korpusu do Rady Regencyjnej. Zajęli jednak Mińsk, pozostawiając Bobrujsk Polakom.

Delegacja przybyła do Warszawy, złożyła hołd ówczesnej reprezentacji państwowej okrojonej Polski i wróciła z radosną wieścią: Rada Regencyjna obejmuje nad Korpusem suwerenną władzę. Trudno wyrazić, jak wielkim świętem stał się dla całego Korpusu dzień przysięgi. Z wojska bezpańskiego, kierującego się instynktem narodowym tylko, staliśmy się częścią armii niepodległej Polski.

Trzeba jednak stwierdzić, że już wówczas rozlegały się głosy powątpiewające i ostrzegawcze. Jakoż idylla nie długo trwała. Gdy Niemcy spostrzegli się, że łączność z krajem zaczyna dawać wyniki, a jednocześnie reakcja na traktat brzeski spowodowała Rarańczę, zdjęli natychmiast maskę. Zażądali przymusowej i całkowitej demobilizacji Korpusu.

Generał Dowbor-Muśnicki odniósł się do swej władzy, t.j. do Rady Regencyjnej. W odpowiedzi otrzymał—zwolnienie Korpusu z przysięgi, wraz z żądaniem uniknięcia konfliktu zbrojnego. O ile pierwsze było wymowne, o tyle drugie plątało sens.

Generał Dowbor miał przed sobą do wyboru: albo ulec żądaniu albo orężnie przebijać się do Rosji. Pierwsza alternatywa była nad wyraz bolesna i sprzeciwiała się uczuciom całego Korpusu. Natomiast odprowadzała do kraju cały materiał ludzki i oporządzenie, które Niemcy, w myśl niedotrzymanej zresztą klauzuli, mieli oddać rządowi polskiemu. Druga zgodna była z uczuciem żołnierskim. Natomiast rzucała żołnierzy w odmęt bolszewicki, bez jakichkolwiek widoków oparcia, bo wiadomości o dywizji francuskiej w Wołogdzie okazały się plotką. Żołnierzy w Korpusie było dużo mniej, niż w kraju przypuszczano: tylko 12 tysięcy bagnetów i szabel. Zato drugie tyle ludności polskiej cywilnej schroniło się w Bobrujsku i okolicy; trzeba by ją było oddać na rzeź czerni, bo Niemcy z pewnością by jej nie bronili.

Dowódca Korpusu powziął decyzję sam. Postanowił Korpus zdemobilizować. Był z tego powodu ostro krytykowany; w momencie decyzji musiał opanować w Bobrujsku rokosz wojskowy. Jeżeli rokosz ten się nie udał, to dlatego, że przybyłego, aby go wywołać, płk. Barthy de Weydenthala nie znano, a do generała Dowbor-Muśnickiego miano zaufanie. Żołnierz płakał, ale wykonał rozkaz. Wiedział, jaką męką dla dowódcy było rozkaz ten wydać.

Ciężki był powrót do okupowanego kraju! Ale też Korpus przybył tam z takim kapitałem nienawiści do okupantów, iż ta nienawiść starczyła za wiele. Do działającej przeciw Niemcom i Austriakom organizacji P.O.W. przybyła organizacja Dowborczyków, szczególnie sprawna w zdemobilizowanych formacjach kawalerii. 11 listopada 1918 roku, a więc w pięć miesięcy po dramacie bobrujskim, Dowborczycy wzięli odwet na Niemcach.

Sam generał Dowbor-Muśnicki został wezwany do Poznania i tam objął naczelne dowództwo nad wielkopolskimi siłami zbrojnymi. Zorganizował je i wyszkolił znakomicie, powołując do tego wielu oficerów I Korpusu. Dywizja poznańska pod dowództwem gen. Konarzewskiego wzięła chlubny udział w kampanii ukraińskiej. Niebawem generał Dowbor wojsko swe podporządkował naczelnemu dowództwu polskiemu, łącznie z wcieleniem Wielkopolski do macierzy.

Jednakże ten doświadczony wódz i żołnierz nie został nigdy już w służbie dla Polski użyty. W roku 1920 nie dano mu żadnego dowództwa, nie powołano go wcale do szeregów. Jedynie zatwierdzono mu stopień generała broni—w rezerwie. I sam generał, i jego liczni podkomendni odczuli to głęboko, jako jeden z licznych błędów, popełnionych w dobie wskrzeszenia Polski.

Dowborczyczy, którzy pierwsi z Polaków zmierzyli się z bolszewicką Rosją, dali krajowi wiele doborowych sił wojskowych. W kawalerii zorganizowali całkowicie 1, 2, 3, 4, 5, 12 i 14 pułki ułanów, częściowo—inne, a także pułki strzelców konnych. W piechocie i artylerii oraz broniach pomocniczych i służbach rozproszyli się bardziej, ale dali wszędzie wielu mężnych i służbistych oficerów i podoficerów zawodowych. Teraz jeszcze, w Anglii, widuje się na mundurach przypięty skromny czarny krzyżyk z orzełkiem—znak pamiątkowy I Korpusu.

Jest to wyobrażenie krzyża z szyn żelaznych, z wieńcem z drutu kolczastego, który postawiliśmy na bratniej mogile, usypanej naszym poległym w twierdzy bobrujskiej. Dobywaliśmy ich zwłoki z różnych mogił, nieraz do niepoznania zmasakrowane przez barbarzyńskich wrogów.

Na wybrzeżu Kościuszkowskim w Warszawie stanął pomnik Dowborczyka. Dźwignęliśmy ten pomnik własnymi siłami. Od ojczyzny nie chcieliśmy i nie chcemy nic, prócz prawa do walki o nią i dobrej pamięci.

Antoni Bogusławski

Przemówienie gen. Wł. Sikorskiego
na otwarciu Wyższej Szkoły Wojennej

Otwierając Wyższą Szkołę Wojenną w Londynie, witam Panów jak najserdeczniej. Pozdrawiam przytem Pana Szefa Sztabu Generalnego Armii Czechosłowackiej generała bryg. ZNAMENACEKA oraz obecnych tu oficerów czechosłowackich, jako waszych kolegów.

Najściślejszą współpracę czechosłowacką i polską nakazuje nam nie tylko nasze bliskie pokrewieństwo rasowe, ale i położenie geograficzne obydwu państw. Za niedociągnięcia obopólne w tym względzie zapłaciliśmy niezwykle drogo, w niedawnej a jakże tragicznej przeszłości. Obecnie, gdy obydwa Rządy weszły na drogę znanej Panom kolaboracji, przywiązuję dużą wagę do udziału czechosłowackich oficerów w tej Szkole, jako wykładowców i jako słuchaczy, gdyż zbliżenie nasze dokona się najpewniej drogą faktów i przy wspólnym warsztacie pracy.

Powołanie do życia tej Szkoły na obczyźnie, co jest przede wszystkim zasługą mego Szefa Sztabu, jest jednym dowodem więcej wprost niezwykłej żywotności polskiego Narodu i jego Armii.

Naród nasz daje tej niezmożonej żywotności stałe dowody, zdobywając się na niebywałe w dziejach bohaterstwo. My musimy iść za Jego przykładem i nie uronić nic z Jego zdobyczy politycznych i moralnych, lecz rozwijać je tak wobec obcych, jak i wobec nas samych, przygotowując się pilnie do zadań, jakie nas czekają po powrocie do Ojczyzny.

Warunki, w jakich przyjdzie Wam pracować w Londynie, będą odmienne od tych, jakie moglibyśmy Wam zaofiarować w Warszawie. Odczujecie niejeden brak na emigracji. Natomiast profesorowie i uczniowie Wyższej Szkoły Wojennej, biorąc udział bezpośredni w obecnej wojnie, biegunowo odmiennej od poprzednich, mogą studiować sztukę wojenną w atmosferze rzeczywistości realnej, czyli pracować w sposób najcenniejszy dla żołnierza.

Jesteśmy świadkami głębokiej ewolucji pojęć o wojnie nowoczesnej. Nawet zasady ustalone przez poprzednią wojnę światową ulegają rewizji zasadniczej. Wszystko staje się płynne. Jedna atoli dziedzina pozostaje niezmienioną i stałą. Jest nią dziedzina wartości moralnych Narodu i ich znaczenie w wyniku ostatecznym walki. Dzisiaj, gdy narody całe zostały wciągnięte w nowy morderczy bój, ich moc duchowa, ich dyscyplina zbiorowa, wiara w swe przeznaczenie i stawianie wartości duchowych ponad materialne, zdecydują nie tylko o zwycięstwie czy klęsce największego w historii świata pojedynku narodów, ale i o dalszej przyszłości.

Należymy do równie twardego, jak ofiarnego Narodu. Jesteśmy związani sojuszem z posiadającym te same cechy narodem angielskim, dysponującym ponadto nieograniczonym zasobem sił materialnych i nieosiągalnym przez Niemcy postępem technicznym. Możemy więc być pewni zarówno zwycięskiego końca wojny, jak i tego, co po niej nastąpi. Chciałbym atoli Panom przypomnieć, że i o wartości żołnierza decyduje przede wszystkim charakter oraz jego cechy podstawowe. Odwaga i dyscyplina, inicjatywa i energia, obowiązkowość, wytrwałość, zdolność do decyzji i rozmach ofensywy—oto cechy dobrego dowódcy i żołnierza, które nie tylko nic nie straciły ale zyskały na wartości. Pragnąłbym zatem, ażeby Panowie pogłębiając swą wiedzę techniczną, rozwijali równocześnie te cnoty rycerskie potrzebne nam dzisiaj, a niezbędne jutro, to jest w chwili powrotu naszego do kraju, który może być dniem chaosu powszechnego, a który będziemy musieli opanować....

Na polu bitwy obserwujemy również niezmiernie głębokie zmiany. Wprowadzenie masowe wielkich jednostek zmechanizowanych spowodowało przewrót w prowadzeniu operacyj. Stało się tak szczególnie w następstwie zbyt dużej przewagi jednej strony nad drugą.

Wielkie jednostki pancerne wspierane walnie przez lotnictwo zdecydowały o zwycięstwie na ziemiach Polski i we Francji. Inne bronie zachowały swą pierwotną, lecz jakże zmienioną wartość. Studiowanie jak najpilniejsze techniki wojennej i jej wpływu na organizację wojska jest więc naszym podstawowym obowiązkiem i pilnym zadaniem.

Wiek XIX był wiekiem kawalerii, potem przyszedł czas na piechotę, która stała się królową broni. Dzisiaj przeżywamy epokę, w której lotnictwo zdaje się sięgać po palmę pierwszeństwa.

Warunki, w jakich walczymy w Wielkiej Brytanii są specjalne. Nie zawsze znajdą one pełne zastosowanie na kontynencie. Zwracam jednak uwagę Panów na rolę, jaką w tej wojnie odgrywa marynarka wojenna, której przewaga na oceanach i morzach po stronie naszego wielkiego Alianta przyczyni się do wygranej. Jej właściwa ocena rozstrzygnąć powinna o rozwoju marynarki polskiej w przyszłości. Jest to problem, który interesuje zarówno nas, jak i Czechosłowaków. Polski dostęp do morza rozstrzygnie nie tylko o bezpieczeństwie i naszej przyszłości na morzu, lecz także i Czechosłowacji.

Lotnictwo stawiało w poprzedniej wojnie zaledwie pierwsze i to bardzo nieśmiałe kroki. Szczególnie lotnictwo myśliwskie i niszczycielskie z tego czasu. Nie rozporządzało ono zbyt dużym zasięgiem, posiadając małą szybkość, a było niezmiernie wrażliwe z boku i od tyłu. Ograniczało więc i swoją działalność do wspierania bezpośredniego oddziałów pierwszej linii, nie ważąc się zapuszczać wgłąb strefy nieprzyjacielskiej. Samolot ówczesny, do kierowania wymagał mistrzowskiej ręki, to też jedynie piloci pierwszorzędni mogli się wykazać sukcesami poważnymi. Rozumie się samo przez się, że należeli po obydwu stronach do nielicznych wyjątków.

Jakżeż daleko jesteśmy od tej epoki, jeszcze prymitywnej. Samolot o wiele szybszy, zwrotniejszy i łatwiejszy do kierowania, wznoszący się ponad 10.000 metrów, o dalekim zasięgu i dużej nośności, rozporządzający potężnym uzbrojeniem,—stał się bronią niezwykle groźną, a w warunkach wyjątkowych decydującą. Rola lotnictwa jeszcze nieskończona, a odegra ono niewątpliwie w obecnym konflikcie narodów rolę olbrzymią.

Oto przykład wykorzystania postępu techniki dla skierowania strategii na nowe tory. Po wielkiej wojnie włoski generał Douhet, uwzględniając położenie własnego kraju, rzucił hasło: "Obrona na morzu i lądzie, ofensywa w powietrzu" i zażądał stworzenia potężnej floty powietrznej. Mussolini w 1927 zapowiedział realizację tej myśli i osiągnięcie tą drogą panowania na Morzu Śródziemnym. Zapowiedź Mussoliniego pozostała wprawdzie tylko manifestacją słowną, ale inne kraje myśl stworzenia potężnej floty powietrznej zrealizowały. Przepowiednie zaś gen. Douheta o wpływie druzgocącym na morale atakowanego z powietrza narodu, sprawdzają się w naszych oczach właśnie w jego ojczyźnie, bo w Italii.

Widzicie z tych przykładów, jak technika wpływa na sztukę wojenną i jak niezbędnym jest jej studium dla oficerów sztabu generalnego. Nie możemy dopuścić do powtórzenia w tym względzie starych błędów i zaniedbań na zlekceważeniu techniki opartych. Jedynym przywilejem oficera dyplomowanego powinno być przodowanie innym w wiedzy i znajomości tych spraw. Obowiązkiem jego jest stać i pod tym względem na wysokości zadania.

Przed kilku laty sformułowałem opinię, że Polska, wobec swego trudnego położenia geograficznego powinna rozporządzać doskonalszą od innych organizacją armii, możliwością wcześniejszej mobilizacji i szybszej koncentracji. Że powinna się ona starać o świetne wyszkolenie swoich żołnierzy i niezwykle wysoki poziom techniczny oraz o bogate zaopatrzenie materiałowe swych dywizji. Że wreszcie bezpieczeństwo własne powinna oprzeć na jak najpełniejszej jedności moralnej, politycznej i socjalnej Narodu, który należycie kierowany może w tych warunkach oprzeć się niebezpieczeństwom, jakie mu grożą. Stało się niestety, jak wiemy, inaczej, przynajmniej w większości wypadków, za co zapłaciliśmy chwilową utratą niepodległości.

Śledźcie więc teraz z otwartymi oczyma przebieg wydarzeń wojennych. Uczcie się i studiujcie je pilnie, ażeby gdy godzina wyzwolenia naszego nieszczęśliwego, ale jakże mężnego Narodu wybije, stać się niezawodnymi budowniczymi Jego wielkości, której twórcami w dziedzinie wojskowej powinniście się stać, Wy, moi Panowie.

Krok ku zwycięstwu

Nie obfitował w pomyślne dla nas zdarzenia rok 1940. Po roku tym, pełnym wysiłków i walk, jesteśmy dzisiaj dalej od Polski, aniżeli byliśmy przed dwunastoma miesiącami: dalej w przestrzeni, skoro pobrzeże szkockie, oddzielone morzem, odleglejsze jest od granic Rzplitej, aniżeli pagórki Bretanii, dalej i w czasie, ponieważ katastrofa Francji zaciągnęła wojnę na dłużej znacznie, aniżeli mógł ktokolwiek wówczas obliczyć. Stopniała jeszcze bardziej liczba nasza i znowu wielu najlepszych spośród nas poległo albo znalazło się w niewoli.

A przecież przyszły historyk stwierdzi, że właśnie w tym roku 1940 miał miejsce fakt pomyślny niezmiernie, o doniosłości największej, fakt stanowiący olbrzymi krok ku odzyskaniu niepodległości i ku jej późniejszemu utrwaleniu. Faktem tym jest porozumienie polsko - czecho - słowackie.

Jak dalece w ocenie takiej nie ma ani krzty przesady, jak dalece porozumienie to jest istotnie i dla Polski i dla Czechosłowacji warunkiem niezbędnym odzyskania ich państwowego bytu, na to jako dowód niechaj służy fakt odwrotny, naocznym doświadczeniem stwierdzony: że właśnie brak tego porozumienia stał się dla obu narodów przyczyną, iż swój byt państwowy utraciły.

Wystarczy spojrzeć na mapę Europy Środkowej, ażeby natychmiast zdać sobie sprawę, że dopiero zatarg z Polską uczynił Czechosłowację bezbronną wobec nacisku niemieckiego i zmusił ją, otoczoną ze wszystkich stron przez państwa wrogie, do poddania się "wyrokowi" monachijskiemu. Inaczej wyglądał by wtedy opór Czech i możność wyzyskania przez nie wszystkich ich wojennych zasobów, a w związku z tym inaczej cały ówczesny układ sił międzypaństwowych (zwłaszcza, że o porozumieniu moskiewsko-berlińskim nie mogłoby w tamtych warunkach być mowy!), gdyby na całej długiej linii od Bogumina po Śniatyń graniczyła Czechosłowacja z Polską nie wrogą, ale sprzymierzoną.

Ale wystarczy też przyjrzeć się tejże mapie, ażeby stwierdzić fakt niezbity, że jedynie zniszczenie Czechosłowacji umożliwiło Niemcom równoczesny, błyskawiczny atak na Polskę z trzech stron, od północy, zachodu i południa, na olbrzymim, strategicznie nie do utrzymania froncie od Suwałk po Stanisławów. Co więcej, Polska po Traktacie Wersalskim tym szczęśliwie różniła się od Polski wieku XVIII-ego, że kiedy tamta otoczona była ze wszystkich stron przez mocarstwa rozbiorcze, ta na 1/3 części swojej linii granicznej sąsiadowała z odbudowaną Czechosłowacją, która z natury rzeczy—w przeciwieństwie do dawniejszej Austrii—na trzeciego partnera przy rozbiorze w żadnym razie nie mogła się była nadawać. I dopiero zajęcie Czechosłowacji przez Niemcy powtórzyło i odtworzyło to otoczenie Polski przez mocarstwa zaborcze, jakie miało miejsce w XVII-ym stuleciu, a tym samym też umożliwiło powrót do polityki rozbiorów w słynnym pakcie Hitlera ze Stalinem.

Jakież jednak były przyczyny tej nieprzyjaźni, tak dla obu państw zabójczej, jakież źródło tych nieporozumień pomiędzy dwoma narodami, najbliższymi przecież sobie krwią, mową, kulturą, politycznie związanymi na śmierć i życie, a gospodarczo—dzięki położeniu geograficznemu—skazanymi nie na współzawodnictwo, ale na współdziałanie?

Jakkolwiek wyda się to na pozór dziwaczne, przyczyna tkwiła właśnie w tym krewieństwie najbliższym i w tej spólnocie. Rzecz polega na tym, że przeciwieństwa wynikały tu nie na tle sprzeczności interesów politycznych, ideowych czy gospodarczych, ale na tle zadrażnień miłości własnej i powstających stąd pretensji i zawiści: uczuć wytłumaczalnych być może u narodów, które świeżo wydobyły się z długoletniej niewoli i wyniosły z niej wiele chorobliwych drażliwości i urazów, lecz w każdym razie uczuć moralnie nie wysokich, a jako motyw działania politycznego najgłupszych i najszkodliwszych.

Otóż zawiść i związane z nią podrażnienia miłości własnej to mają do siebie, że silniej znacznie odczuwane są w stosunku do podobnych sobie i najbliższych, aniżeli w stosunku do odmiennych i dalekich. Poeta zazdrości sławy raczej poecie, niż inżynierowi, zamożność sąsiada o miedzę boleśniej kłuje w oczy, aniżeli bogactwo gospodarza z odległej wioski, dzieciak tupie ze złości, gdy kto z rodzeństwa znajdzie ładniejszą, niż jego zabawkę pod choinką, ale nie denerwuje się zgoła na myśl, że gdzieś, w innej kamienicy, nieznane mu dzieci otrzymują podarki jeszcze piękniejsze.

I właśnie to podobieństwo najbliższych sobie narodów słowiańskich, ta zgodność losu, gdy oba one wyzwalały się równocześnie w wyniku klęski Niemiec w 1918 roku sprawiła, że już od pierwszej chwili zadrażnienia miłości własnej stawały wpoprzek wszelkiej szczerej i głęboko pojętej współpracy polsko-czechosłowackiej. Każdy sukces polityczny czy propagandowy jednej ze stron, każde zdobycie przez nią większych wpływów i silniejszego stanowiska wśród mocarstw zwycięskich denerwowały stronę drugą, podniecając ją do wszelkich intryg i najbardziej karkołomnych wysiłków, byle tylko podciąć współzawodnika i pokazać światu, że "my lepsi."

W Lidze Narodów czy też w ruchu wszechsłowiańskim, nawet w najdalszej od polityki dziedzinie naukowej czy kulturalnej rywalizacja polsko-czeska ustawicznie wprowadzała atmosferę podniecenia, usiłowań obniżania się wzajemnego, wzajemnych oskarżeń o manię wielkości i t.d.

Tylko w tej atmosferze spór graniczny o dwa powiaty cieszyńskie mógł rozrosnąć się do tragicznych rozmiarów sprawy, co tak złowieszczo zaciążyła na losach Polski, Czechosłowacji i—świata.

W ciągu dwudziestolecia dyplomacja czechosłowacka wysilała się nad budową politycznego systemu środkowo - europejskiego pod swoim kierownictwem, tworząc przymierze Małej Ententy, układ, który okazał się martwy i w chwili rozstrzygającej niezdolny do przyniesienia Czechom żadnej pomocy,—właśnie dlatego, że organizowany był bez Polski i poza swoim zasięgiem ją pozostawił.

W ciągu tegoż dwudziestolecia dyplomacja nasza wysilała się nad stworzeniem z Polski ośrodka w skomplikowanym systemie porozumień państw między Bałtykiem a Morzem Czarnym, systemie, który musiał okazać się sztuczny i w chwili próby całkowicie bezużyteczny, skoro z łańcucha, który kuto z takim mozołem, usuwano z góry ogniwo środkowe—Czechosłowację.

Ale na szczęście straszliwa lekcja, jaką przechodzą dziś i Polska i Czechosłowacja nie poszła na marne. Z mąk i nieszczęść, które przez wieki będą pamiętane, zrodziła się świadomość konieczności współpracy, która na wieki również będzie trwać jako rękojmia najpewniejsza wspólnej wolności. Małostkowość znika, pogłębia się odwieczne poczucie braterstwa dwu najbliższych sobie w Słowiańszczyźnie narodów.

Kiedy zaś myślę o tych sporach powierzchownych i o tej jedności najgłębszej pomiędzy dwoma narodami, staje mi na oczach szczegół pewien, który dla istoty stosunków polsko-czeskich ma jak gdyby znaczenie symbolu. I w Katedrze Gnieźnieńskiej i w Katedrze Św. Wita w Pradze przechowywane są w czci trumny ze zwłokami św. Wojciecha. Od dziewięciuset lat trwa spór pomiędzy obiema kapitułami katedralnymi, które relikwie są prawdziwe, a które zostały fałszywie podstawione w czasach zamętu, jaki nastąpił w Polsce po upadku Mieszka II. A przecież każdy, kto i w Pradze i w Gnieźnie od stuleci klęka pobożnie przed tymi trumnami, wie doskonale, że modli się do tego samego Świętego Wojciecha, potomka czeskiego książęcego rodu Sławników, dobroczyńcy i obrońcy ubogiego pospólstwa praskiego, biskupa, który pierwszy modlitwy łacińskie na polską mowę przekładał, przyjaciela i domownika Chrobrego. Tegoż samego pierwszego patrona Polski, apostoła, który z Gniezna wyruszywszy, śmierć męczeńską poniósł u wrót Gdańska, u naszych wybrzeży Bałtyku!

Jan Rembieliński

Budowanie braterstwa

Dzień w dzień poczta wyrzuca na nasz stół redakcyjny wielką mnogość listów. Ta mnogość usprawiedliwia mnie z tego, że nie od razu na wszystkie odpisuję. Tym bardziej, że ich rozmaitość nie zawsze ułatwia odpowiedź. Bo i co zrobić z takim aż nazbyt pochlebnym listem: "Jako jedyny organ prawnowojskowy na terenie Anglii zapytuję uprzejmie, czy przysługuje mi prawo cenzusu i czy mogę robić starania o awans"? Nie wiele łatwiej jest z innym: "Uprzejmie proszę o udzielenie mi informacji, jakim rozkazem N.W. przyznano podoficerom rezerwy, którzy brali udział w wojnie polsko - bolszewickiej prawo do gaży miesięcznej (we Francji)." Nie do najłatwiejszych zadań należy też "wyszukanie chrzestnych pań, któreby mogły korespondować z żołnierzami polskimi w charakterze chrzestnych matek." Na te i tym podobne kłopoty nie długo już zresztą zaradzimy. Są i prośby proste, przejmujące i łatwiejsze do spełnienia: "Leżę już sześć miesięcy w szpitalu, t.zn. od kampanii w Norwegii, gdzie zostałem ranny. Mam amputowaną prawą nogę. Nie mam kontaktu z żadnym znajomym, więc prosiłbym bardzo o podanie mi adresu X., który drukował w "Polsce Walczącej." Przesłaliśmy już kilkadziesiąt adresów, przekazaliśmy kilkanaście przesyłek, powierzonych nam z dobrą wiarą poprzez Ocean.

Ale właściwie nie o tych wszystkich listach, które będzie sobie kiedyś czytał i smakował szperacz w Archiwum Wojskowym—chcę dzisiaj pisać. O dwu innych listach, które fala powrotna morza obcości naniosła na nasz stół. Jeden z tych listów napisał żołnierz czechosłowacki za pośrednictwem Polaka, drugi również Czechosłowak za pośrednictwem — angielszczyzny. Przytaczam te dwa listy (z opuszczeniem nazwisk):

"*Otóż spotkałem pewnego żołnierza czeskiego. Opowiedział mi on o swej ucieczce z obozu koncentracyjnego na. . . . Było to w. . . . Dwuch Polaków pomagało mu w całej tej imprezie. Dziś chce im się odwdzięczyć, a przynajmniej podziękować. Prosił mnie o pomoc w odszukaniu swych dwu dobroczyńców. Robiłem starania tu na terenie wojska, ale to trudno, ze względu na tajemnicę wajskową. Przypuszczam, że ogłoszenie umieszczone w Panów poczytnym piśmie dało by dobry wynik, bo znalazło by się tych, których szuka Czech, a zarazem byłby to jeden więcej mostek przyjaźni polsko-czeskiej.*"

"*Dear Sir, I beg your pardon if I take your time and that I write to you not in the Polish language, but I speak only the Czech, the English and the German language. A Polish officer has saved my life in France and made it possible for me to go with the Polish Army from a village near the Marne-river to our headquarter in Bezier. I want to know his address in England for the purpose to write him. It was a wonderful time for me what I spent with the comrades of the Polish Army, and I will never forget the hospitality and good fellowship of the Polish Army, and hope that it will be possible for me to write to my former comrades.—Yours faithfully.*"

(*W przekładzie polskim*: "*Drogi Panie, Przepraszam, że zajmuję pański czas i nie piszę w języku polskim, ale władam tylko językiem czeskim, angielskim i niemieckim. Oficer polski uratował mi życie we Francji i umożliwił mi dostanie się z armią polską ze wsi w pobliżu Marny do naszej kwatery Głównej w Bezier. Chciałbym znać jego adres w Anglii, ażeby do niego napisać. Cudowny był ten czas, który spędziłem z moimi kolegami z armii polskiej, i nigdy nie zapomnę gościnności i dobrego koleżeństwa polskiej armii i mam nadzieję, że będę mógł napisać do moich dawnych towarzyszy.*")

Czytam te listy i myślę, że z takich wydarzeń drobnych, jak pyłki w straszliwym cyklonie, który miota nami wszystkimi, że z tych odruchów solidarności ludzkiej, z tych objawień serca, których nie zapomina drugie serce—buduje się powoli wspólnota dwu narodów. Ważna jest zgoda na szczytach, ale równie ważne jest związanie dołów. Zgoda na górze mąci się łatwiej. Wtłoczą się pośrodek chmury i szczyty przestają patrzeć w siebie, przestają się widzieć. Związanie dołów nie zrywa się tak łatwo. Jest podobne przerośnięciu korzeniami, którymi biegnie sama treść, sama siła, sama wola życia.

Gdy się dzielę z wami, Drodzy Czytelnicy, treścią tych listów, gdy myślę, o tym, co one znaczą i jak ważyć mogą na przyszłości, na losie dwu społeczeństw—przypomina mi się obóz polski w Coëtquidan, pierwsze tygodnie w nim, pierwsze miesiące. Nie odstępowała nas ani na krok pamięć klęski. Siąpało za oknem, dęły oceaniczne wiatry i zimno było niezgorzej. Ale siadywaliśmy po kilku, po kilkunastu i rozmawialiśmy. Grzaliśmy się szczerą bliskością. W niezapomnianym baraku C1, gdzie mieścił się referat oświatowy obozu gadywaliśmy często także na ten temat: Polska i Czechosłowacja. Nie było łatwo dotykać tej sprawy, bo była bolesna. A przecież dotykaliśmy jej, szczerość i odwaga pozwoliły nam przezwyciężyć narosłą bolesność, kazały nam ją domyśleć do końca, nadać jej ten wyraz, jaki teraz przybrała w oficjalnym oświadczeniu dwu pojednanych rządów. Budowaliśmy to braterstwo od dołu, jak ci Polacy, o których wspomniał jeden z ostatnich numerów "Wiadomości ze Świata" minionego roku, którzy chcieli się bić za Czechosłowację i Polskę w okresie sprawy sudeckiej, jak ci Czechosłowacy, którzy chcieli się bić za Polskę i Czechosłowację w czasie pamiętnego września.

Pamiętam, że w tych rozmowach zabierał często głos Jan R., pisarz, dziennikarz i ideolog, z którym się w wielu rzeczach różniłem. Pamiętam, że pomógł nam usunąć niejedno uprzedzenie, niejedną zakamieniałą zastałość, spojrzeć na rzeczy świeżymi oczami, bo zna Czechosłowację z bezpośredniego zetknięcia, z cierpliwej bezstronnej, obserwacji, z pogłębionej nauki historii i faktów. Pamiętam, że równo rok temu zamknąłem go prawie siłą, w jednej z izb C1, w tej, w której mieściła się biblioteka obozowa, tak przez nas wszystkich kochana, aby napisał to, co myśli. Tak powstał artykuł "Po strasznej lekcji," drukowany w "Polsce Walczącej," jedno z najwcześniejszych, jedno z silniejszych i głębszych oświetleń sprawy polsko-czechosłowackiej. Pamiętam też, że gdyśmy sobie z Janem R. składali życzenia w tamtą wilię, w tamten Nowy Rok, powiedzieliśmy sobie obaj: "Cokolwiek nas dzieli, cokolwiek by nas jeszcze kiedyś dzielić mogło—dochowajmy sobie przyjaźni, zawiązanej w klęsce, w niedoli, w służbie jednej sprawie."

Te słowa wydają mi się najstosowniejsze, gdy myślę o tych dwu listach, o tym co znaczą i co ważą. Wydaje mi się, że nic innego powiedzieć nie można, innego życzenia złożyć autorom tych listów i adresatom, żołnierzom czeskosłowackim i żołnierzom polskim, Czechosłowacji i Polsce.

Budujmy braterstwo. Dochowajmy sobie braterstwa.

Tymon Terlecki

Czechoslovak Republic
MINISTRY OF FOREIGN AFFAIRS
DEPARTMENT OF INFORMATION



Odděleni voj. propagandy a osvěty.
Londýn, 27 prosince 1940.

Titl. Redakce "Polska Walcząca,"
Londýn.

Blížící se den Nového roku poskytuje mi vítanou příležitost, abych Vám zaslal se srdečnými pozdravy srdečná přání všeho nejlepšího pro rok 1941 a daiší.

Jsme štastni, že se rozplynuly přehrady, které nám bránily projevovati své city přátelství, které nikdy nevymizelo, a že můžeme otevřeně spolupracovati.

Jsme si při tom plně vědomi velké ceny, kterou Vaše pomoc představuje pro společné dílo našich národů.

Přednosta oddělení voj. propagandy a osvěty.
Major generálního štábu V. Koutník.

Wydział Oświaty i Propagandy Wojskowej.
Londyn, 27 grudnia 1940.

P.T. Redakcja "Polski Walczącej,"
Londyn.

Zbliżający się dzień Nowego Roku daje mi miłą sposobność przesłania Panu wraz z serdecznymi pozdrowieniami serdecznych życzeń wszystkiego najlepszego na rok 1941 i następne.

Jesteśmy szczęśliwi, że upadły przegrody, nie pozwalające nam na przejawianie uczuć przyjaźni, która nigdy nie zanikała, i że możemy jawnie współpracować.

Jesteśmy całkowicie świadomi wielkiej wartości, jaką wasza pomoc przedstawia dla wspólnego dzieła naszych narodów.

Szef Wydziału Propagandy i Oświaty
Major Sztabu Generalnego V. Koutnik.

Libijski teatr wojenny



Wraz z niespodziewanym rozwojem działań wojennych w Afryce północnej, uwaga całego świata zwróciła się ku Libii. Ten olbrzymi nieurodzajny obszar, skąpo zaludniony i pozbawiony jakichkolwiek bogactw naturalnych, był już nieraz w przeszłości sceną dramatów i tragedii. Los chciał, że i teraz, gdy kalkulacje strategów i polityków inne wskazywały teatry rozgrywającym się zmaganiom, Libia raz jeszcze—zapewne nie ostatni—zapełniła czołowe szpalty wojennych sprawozdań.

W początku ubiegłego stulecia Libia—zwana naówczas Trypolitanią, wchodziła w skład Imperium Ottomańskiego. Wraz z rozpadaniem się Turcji—"chorego człowieka Europy"—maleć poczęły posiadłości afrykańskie i azjatyckie Wielkiej Porty. We Wrześniu 1911 roku Włochy znienacka uderzyły na Tripoli, wyparły sprzymierzone wojska tureckie i arabskie i 5 listopada tegóż roku zajęły całe terytorium Libii. Dopiero jednak traktatem w Ouchy z 18 października 1912 zalegalizowano zabór zbrojny. Włochy postawiły pierwszy krok na drodze do imperium kolonialnego, którego myślą przewodnią było obrócenie Morza Śródziemnego w "mare nostrum" (nasze morze).

Ludność Tripoli, licząca podówczas przeszło pół miliona wyznawców islamu, rozdzielona na wiele zwalczających się plemion i szczepów, przyjęła od pierwszej chwili zdecydowanie wrogą postawę w stosunku do najeźdźcy. Składały się na to liczne warunki polityczne i religijne. Wolny Arab wychowany w środowisku religijnie fanatycznym, z odrazą patrzał na swego "niewiernego" ujarzmiciela. Włoska ręka nie musiała być lekka, ale z drugiej strony stały opór Arabów powstrzymywał proces kolonizacyjny. Gospodarczo kraj rozwijał się mało, lub wcale. Poza wąskim pasem przybrzeżnym z jako tako rozwiniętą roślinnością, olbrzymie pustynne i bezwodne zaplecze stanowiło niezdobyte królestwo wielbłąda oraz wątłych arabskich owiec.

Faszystowska ekspansja polityczna nie mogła zlekceważyć kwestji kolonialnej. Była to bowiem sprawa zasadnicza nie tylko z punktu widzenia rozwoju gospodarczego, ale przede wszystkim okazja do zwiększenia, a raczej stworzenia prestige'u, tak niezbędnego czynnika w życiu dyktatorów. Mussolini, patrząc zawistnym okiem z jednej strony na urodzajną dolinę Nilu, z drugiej na bogaty w superfosfaty Tunis, zdecydował się zrobić z Libii pierwszy krok w swym marszu do imperialnej potęgi.

Przede wszystkim trzeba było Libię ujarzmić za wszelką cenę, otworzyć ją dla włoskiej kolonizacji, usamodzielnić żywnościowo, usprawnić i uzbroić. Rozpoczęła się krwawa i zajadła walka z ludnością miejscową. Jedne po drugich poddawały się plemiona, wybijano jedne po drugich bandy dywersyjne. Dopiero jednak w roku 1930, gdy po Teruzzim, gubernatorem Cyrenajki, stanowiącej wschodnią część Libii, został Graziani, walka przybrała formy zasadnicze. Dla stłumienia oporu nie cofano się przed niczym. Arabów, przychwyconych z bronią, wieszano bez pardonu, owce rozpędzano. Dopiero jednak z chwilą schwycenia i powieszenia wodza rebeliantów Omara Mutar nastał spokój.

Warto tu zaznaczyć, że Włosi nie bez powodu właśnie przez powieszenie pozbawiali schwytanych Arabów życia. Istnieje bowiem w świecie muzułmańskim przesąd, że tylko w wypadku powieszenia, dusza nie może opuścić ciała i udać się do nieba. Arab nie zmrużył oka w obliczu śmierci i z radością czekał na przejście do krain wiecznej szczęśliwości. Na myśl jednak o powieszeniu opadał go strach i wszystko by oddał, aby tego rodzaju śmierci uniknąć. Imano się także innych nieludzkich sposobów. Na rozkaz Grazianiego wyprawy w głąb lądu zalewały betonem i cementem źródła, pozbawiając całe plemiona wody i skazując je bądź na śmierć, bądź na wędrówkę i tułaczkę.

Trzy lata podobnej akcji cywilizacyjnej zrobiły swoje. Stałe pogotowie europejskich mieszkańców Tripoli stało się zbędne, opór ludności został skruszony. Libia stanęła otworem dla szerszej kolonizacji. Głęboki był jednak zawód Mussoliniego, gdy w odpowiedzi na bombastyczną propagandę masy ludności rolniczej Włoch zareagowały bardzo nieznacznie. Wyjazd do Libii i ciężka praca pionierska na bezpłodnym gruncie i w atmosferze ciągłych upałów nie miała w sobie dostatecznego bodźca. Niemal siłą zmuszono 20.000 kolonistów do osiedlenia się w pasie przybrzeżnym, i w roku 1938 ogólna ilość mieszkańców europejskich wyrażała się liczbą 66.500 osób przy 773.000 ludności tubylczej.

W międzyczasie nastąpiło uderzenie na Abisynię, które miało zabezpieczyć południową flankę włoskiego imperium. Nastąpiło w ten sposób połączenie wschodniej Afryki włoskiej, Abisynii i włoskiego Somali w jeden potężny blok, sięgający od Morza Czerwonego po Ocean Indyjski.

Do spełnienia snu o potędze, brakło już tylko dwóch rzeczy: zdobycia Egiptu i Sudanu z jednej strony, wyparcia Francuzów z Tunisu z drugiej. Obawiając się oporu brytyjskiego, Mussolini postanowił otworzyć sobie drogę do przyszłego uderzenia przez Bałkany i w tym celu zajął Albanię w kwietniu 1939 roku.

Wybuch wojny we wrześniu tegoż roku zastał go w pełni gorączkowych przygotowań, zdawało się bowiem, że chwila urzeczywistnienia jego planów jest bliska. W przeszło rocznym okresie zgromadzono w Libii pod dowództwem tegoż Grazianiego trzystutysięczną armię. Ledwie samowystarczalna aprowizacyjnie w czasach pokojowych, zmuszona została Libia do importowania olbrzymich ilości produktów spożywczych, nie licząc broni, amunicji, benzyny i innych artykułów, niezbędnych do utrzymania tak olbrzymiej armii w stanie całkowitej gotowości.

Niespodziewany rozkład Francji stworzył w basenie Morza Śródziemnego sytuację dla Włoch jeszcze korzystniejszą. Z chwilą bowiem wkroczenia do Syrii i Tunisu umocniłaby się ich pozycja strategiczna i polityczna. Wielka kampania propagandowa, lansująca Mussoliniego jako obrońcę Islamu przed brytyjskim ciemiężycielem, miała porwać do walki skrajnie nacjonialistyczne elementy syryjskie i egipskie. Z ogólnego zamieszania wyłonić się miało w okół "*Mare Nostrum*," imperium kolonialne, przewyższające zasięgiem i rozmachem wszystko od czasów Cezara.

Sześć tygodni wojny na Bałkanach, mającej otworzyć kleszczowe uderzenie na Egipt—rozwiało w pył sztucznie wydęte marzenia. Szczęśliwie pomyślany i przeprowadzony atak brytyjski na Solum i Bardię rzucił mozolnie przygotowaną armię libijską w popłoch i dezorganizację.

Pomiędzy granicą egipską a portami Libii istnieje tylko jedna wąska, przeszło sześćset kilometrowa droga. Wzdłuż niej rozwijają się działania wojenne, wzdłuż niej, cofające się wojska włoskie poddawane są nieustannemu bombardowaniu przez lotnictwo i flotę. W ojczyźnie "okrętu pustyni"—wielbłąda—pojawił się nowy czynnik wojskowy—tank. Odległe zapomniane oazy od czasu do czasu rozbrzmiewają terkotem karabinów maszynowych.

Lada moment bandy Arabów rzucą się od tyłu na pierzchającego ciemiężcę. Znowu odżyje walka podjazdowa, zaniechana od lat. Znowu w krętych, skalistych wąwozach padną strzały z ukrycia czy zasadzki. Odcięta od kontynentu europejskiego bombardowaniem portów, parta przez Anglików z Egiptu, dźgana w plecy przez plemiona arabskie, zdezorganizowana armia Grazianiego pocznie wyczerpywać zapasy wody, żywności i amunicji. I wtedy przyjdzie jej koniec.

* * *

Tragedia Libii jest poglądową lekcją, że polityki kolonialnej nie można opierać na przesłankach politycznego prestige'u. Można mamić przeciwnika, nigdy nie należy mamić samego siebie. Nie opłaca się to na daleką metę.

Włochy, kraj rolniczy i ubogi, a zarazem mocno przeludniony, jest w położeniu zbliżonym gospodarczo do struktury przedwojennej Polski. I my mieliśmy i mamy słuszne żądania do ekspansji kolonialnej. W ich urzeczywistnianiu jednak winniśmy obrać inną, niż Włochy, drogę. Musimy z góry zrezygnować z tanio produkowanych marzeń o mocarstwowości i potędze, której nie zdobywa się za życia jednego pokolenia.

Mamy nadmiar ludności i brak szeregu zasadniczych surowców. Musimy jednak z przykładu Włoch pamiętać, że opłacalność kolonii pod względem gospodarczym wymaga olbrzymich wkładów finansowych i wielkiej rozbudowy środków komunikacyjnych. Kolonista potrzebuje kapitału na przetrzymanie okresu początkowego, potrzebuje narzędzi rolniczych, oraz zaopatrzenia go w artykuły pierwszej potrzeby. Eksploatacja surowców pociąga znaczne koszty związane z urządzeniami technicznymi i trasportem.

Libia po stronie korzyści dawała tylko korzyść polityczną, gospodarczo, tak jak Abisynia była od początku deficytowa. Oparte na bluffie i megalomanji, imperium karykaturalnego cezara rozpadło się przy pierwszym uderzeniu.

Grudzień 1940.

Przemysław Kwiatkowski

Przegląd polityczny

KLĘSKI WŁOSKIE W LIBII I ALBANII

W sierpniu 1940 roku, kiedy Graziani zaczynał swój słynny marsz na Egipt—Mussolini wydał rozkaz dzienny do armii libijskiej. "*Żołnierze faszystowskiej Italii* —grzmiał Il Duce—*skoro raz wyjdziecie ze swoich pozycyj, żadna siła nie zdoła was zatrzymać.*"

Odnosi się wrażenie, że w pięć miesięcy później w styczniu 1941 —ani radio, ani prasa włoska nie będą powoływały się na rozkaz dyktatora. Armii włoskiej, odkąd Anglicy wyparli ją z bardzo dobrze ufortyfikowanych pozycyj —*naprawdę nic zatrzymać nie jest w stanie.* Ani odezwa Mussoliniego, że "klucz do bramy libijskiej, jaką jest Bardia, nie może dostać się w ręce wroga." Ani groźby rządu, że "każdy defetysta, któryby opuścił swe stanowisko, naraża się na śmierć haniebną." Linia fortów, którą z tak ogromnym nakładem kosztów wybudowano na granicy Cyrenajki została przerwana przez wojska Wawella. Bardię wzięto, Tobruk jest otoczony, armia Grazianiego straciła w samych jeńcach jedną trzecią swych sił. Wspaniała automobilowa szosa strategiczna, jaką Mussolini połączył granicę Tunisu z granicą egipską, oddaje ogromne usługi zmotoryzowanym dywizjom brytyjskim.

Sytuacja Włochów w Afryce jest krytyczna. Tym bardziej, że wiadomości, nadchodzące ze środkowo-wschodniej Afryki, brzmią co raz to gorzej dla Rzymu: Anglicy podjęli ofensywę od strony Wielkich Jezior. Jednocześnie buntują się szczepy abisyńskie, wyposażane w co raz to lepszą broń europejską. Gdyby Francuzi w Afryce doszli do słusznego przekonania, że należy wystąpić czynnie i rozpoczęli ofensywę od strony Tunisu—"mocarstwowa" rola Włoch w Afryce byłaby skończona.

Bardzo poważnie również przedstawia się położenie armii włoskiej w Albanii. Jak już kilkakrotnie zaznaczaliśmy, wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu i wszelkim przepowiedniom—Grecy biją i to co raz boleśniej świetnie uzbrojone i zmotoryzowane wojska włoskie w Albanii. Valona, największy port i ośrodek całego oporu włoskiego—jest poważnie zagrożona. Z chwilą zajęcia tego miasta, dalszy opór wojsk Mussoliniego na Bałkanach byłby bezprzedmiotowy.

CO ZROBI HITLER?

Czy stoimy przed bezpośrednią likwidacją akcji faszystowskiej w Afryce i na Bałkanach? Mimo, że nasze życzenia idą w tym kierunku, trzeba jednak wziąć pod uwagę fakt, iż Hitler zrobi wszystko, co będzie w jego mocy, aby do upadku "Unterführera," jakim jest Mussolini-jednak nie dopuścić. Dlatego bardzo jest możliwe wzmocnienie akcji niemieckiej w Afryce i na Bałkanach. Do Libii poszły już eskadry samolotowe niemieckie a dalsze posiłki są podobno w drodze. Tak samo bardzo prawdopodobny jest atak niemiecki na Grecję i Turcję poprzez Bułgarię, której obrona jest raczej wątpliwa. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, król Borys zgodzi się na przepuszczenie wojsk niemieckich. Nie jest również wykluczone, że ciężka sytuacja Mussoliniego, *skłoni Hitlera do przyśpieszenia generalnego ataku na Wyspy Brytyjskie.* Na ten fakt zwracają uwagę angielscy mężowie stanu—i my nie omijamy żadnej sposobności, aby jak nadobitniej podkreślić fakt, iż chwilowy spokój na wszystkich odcinkach w Wielkiej Brytanii—a więc i na odcinkach polskich—jest jedynie i wyłącznie spokojem przed burzą, która musi nadejść wcześniej czy później. Nie wolno nam o tym ani przez chwilę zapominać.

FIASCO FASZYZMU

Ale, bez względu na fakt, jakimi torami potoczą się dalsze losy wojny jedno jest dzisiaj pewne: mianowicie straszna, w najwyższym stopniu kompromitująca klęska faszyzmu. *Mussolini przegrał i na Bałkanach i w Afryce.* Jeżeli nawet pochód wojsk angielskich zostałby chwilowo wstrzymany będzie to zasługą nie "dynamizmu faszystowskiego," ale pomocy niemieckiej. A pomoc ta równa się poddaniu niepodległego dotąd kraju pod bardzo przykrą kuratelę Niemiec. Totalizm faszystowski egzaminu dziejowego nie zdał, a raczej zdał go z wynikiem złym. Ci wszyscy, którzy bądź to przed wojną, bądź to w czasie wojny stawiali na czarnego konia faszyzmu—zawiedli się całkowicie w swoich przypuszczeniach i przewidywaniach. Gestapo i Ovra—tajna policja polityczna—może jakiś czas, utrzymywać terrorem prestiż Il Duce. Ale będzie to robota na krótką metę. Hasła, które usiłowano i nam do wierzenia podać—*bankrutują na całej linii.*

NIE MY BĘDZIEMY NOSIĆ ŻAŁOBĘ

Nie mamy najmniejszego powodu, aby tego żałować. Wbrew rozmaitym opiniom o "niewrogości Italii" należy zaznaczyć z całym naciskiem, że w tej strasznej rozgrywce z Niemcami—*faszyzm był zdecydowanym wrogiem Polski.* Prasa faszystowska jeszcze w kwietniu i maju 1939 atakowała Polskę o wiele zacięciej, aniżeli nawet prasa niemiecka. Gdy wybuchła wojna cała sympatia tych kół, jakie reprezentował hr. Ciano, najbardziej wpływowy minister w rządzie Mussoliniego—była po stronie najeźdźców. Co więcej. Dnia 17 września 1939, na wiadomość o wyjeździe rządu Składkowskiego i Rydza-Śmigłego do Rumunii Mussolini wypowiedział słynne słowa: "*Polonia e liquidata.*" Pod presją rządu rzymskiego uniwersytet w Modanie nadał honorowy doktorat "generał-gubernatorowi" i takiemu ciemięscy Polaków, jakim jest smutnej sławy Frank. Najwyższe odznaczenia włoskie otrzymali niemieccy "zdobywcy" Krakowa i Warszawy.

To sobie dobrze zapamiętamy i w chwili, kiedy naród włoski będzie załatwiał swe porachunki z faszyzmem-będziemy całym sercem po stronie nieszczęśliwego i prześladowanego przez faszystowskich zbirów ludu. Albowiem między faszyzmem i nazismem jest ta różnica, że o ile nazizm i Hitler reprezentuje w całym tego słowa znaczeniu wszelkie cechy społeczeństwa niemieckiego—*o tyle faszyści opanowali ster państwa włoskiego, jak piraci okręt.* Naród włoski nie jest odpowiedzialny za Mussoliniego, podobnie jak naród polski nie może ponosić odpowiedzialności za całą, z gruntu błędną politykę dawnych, sanacyjnych rządów. Prawdziwie wielcy włoscy mężowie stanu—Mazzini i Garibaldi—byli szczerymi przyjaciółmi narodu polskiego, którego wolność utożsamiali z ogólnoeuropejskim pojęciem międzynarodowej sprawiedliwości. Wrogą Polsce była tylko ta klika czarnych koszul i jeszcze czarniejszych charakterów, która zatamowała moralny i kulturalny postęp Italii, a cały naród pchnęła na brzeg przepaści.

AMERYKA WCHODZI DO WOJNY

Zwycięstwa idą zwykle w parze —i wspaniały sukces wojsk brytyjskich w Afryce może być porównany do olbrzymiego sukcesu dyplomatycznego, jaki Churchill odniósł w Stanach Zjednoczonych. W najbliższym czasie kongres Stanów uchwali pełnomocnictwa dla Prezydenta Roosevelta, które będą równoznaczne z wejściem Ameryki do wojny.

—*Stany Zjednoczone* — pisze "New York Times"—*stają się arsenałem Wielkiej Brytanii. Lord Halifax, ambasador króla Jerzego w Waszyngtonie, będzie w krótkim przeciągu czasu nie tylko przedstawicielem Anglii, ale również łącznikiem między frontem a etapami brytyjskimi w Ameryce.*"

Bardzo trafne ujęcie sprawy. Rola Stanów Zjednoczonych jest decydująca nie pod względem militarnym (nie zapominajmy, że król Jerzy VI ma 450.000.000 poddanych), *ale rozstrzygającym momentem w walce będzie cały, olbrzymi przemysł amerykański.* Otóż kolosalną tę potęgę rzuca już dzisiaj Prezydent Roosevelt na szalę wypadków światowych. Prasa niemiecka uderza na alarm i twierdzi, że "neutralność Stanów stała się fikcją." Goebbels zapowiada, że "Trzecia Rzesza powinna wyciągnąć z tego wszystkie konsekwencje." W tym wypadku—w tym jedynym—Niemcy trafnie oceniają stanowisko Ameryki. W Berlinie mnożą się głosy, że wojna między Niemcami a Ameryką zaczęła się na dobre i w interesie Hitlera leżało by raczej przyśpieszenie zbrojnego starcia, aniżeli czekanie na uruchomienie całego olbrzymiego przemysłu wojennego Stanów. I sprowokowanie przez Niemców otwartych działań wojennych nie jest wcale wykluczone. Chwila ta będzie początkiem końca Trzeciej Rzeszy.

tk

JAK BRYTYJSCY KOLEDZY OBCHODZILI ŚWIĘTA



Nowy Rok na pozycji



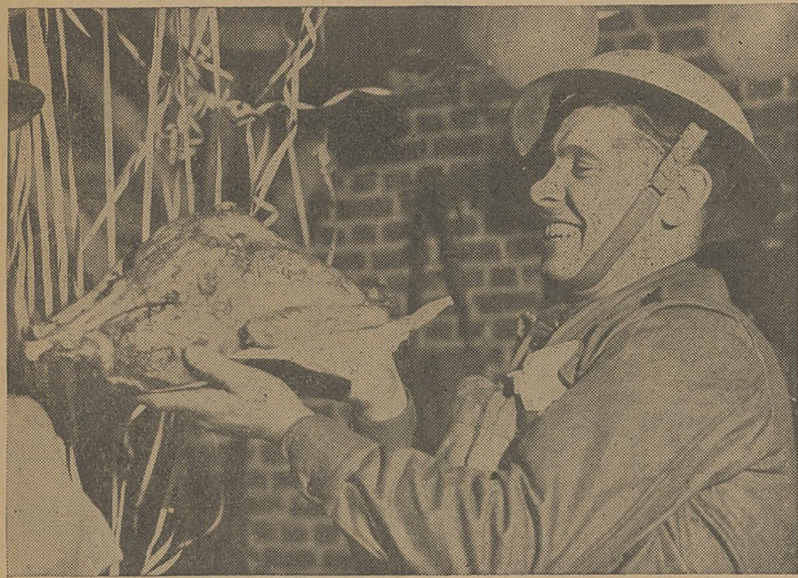
Dzielenie puddingu



Fasowanie puddingów



Zabawa gwiazdkowa marynarzy



Inspekcja indyka przed obiadem świątecznym



W noworoczne popołudnie

ŚWIĘTA CZECHOSŁOWAKÓW

Podobnie, jak żołnierze polscy starali się i żołnierze czechosłowaccy, aby ich wojenne Boże Narodzenie w Anglii przypominało możliwie najbardziej święta spędzane w domu. Tak jak i u wszystkich żołnierzy w tym gościnnym, kraju wszystko było piękne i miłe—a zarazem smutne, gdyż właśnie w czasie Bożego Narodzenia skupiają się zwykle rodziny a to przecież tym razem nie było możliwe, jakkolwiek dowództwo i oficerowie oświatowi robili co mogli, aby żołnierzom umilić dzień wigilijny.

Do tych, którzy mają duże zasługi w urządzeniu Świąt Bożego Narodzenia dla wojska czechosłowackiego należy przede wszystkim prezydent republiki dr. Edward Benesz. Dnia 24 grudnia prezydent odwiedził szereg obozów, doręczając liczne podarunki, które przysłali Czechosłowacy ze Stanów Zjednoczonych, Kanady i południowej Afryki. Jedne z takich odwiedzin przedstawia reprodukowana obok fotografia.



Czechosłowacki minister obrony narodowej Generał Ingr zwrócił się do wojsk alianckich ze specjalnym oświadczeniem:

"Nowy Rok jest dniem rozmyślań, decyzji i życzeń. Dla nas, żołnierzy, łączy się to wszystko w jedno: wygrać tę wojnę.

Mówiąc w imieniu wojska czechosłowackiego, jestem pewien, że wyrażam to samo, co myślą, i czują żołnierze wszystkich armii alianckich, skupionych wokół głównego bojownika, Imperium Brytyjskiego, i że jednakowo myślą i czują żołnierze, służący pod proporcami, sztandarami i chorągwiami wszystkich trzech broni armii brytyjskiej.

Stoimy wszyscy u progu nowych doświadczeń i nowego napięcia woli i sił. Rok ten przybliży nas do ostatecznego zwycięstwa, oznaczającego wyzwolenie ujarzmionych krajów i powrót do prawa i sprawiedliwości, co będzie najpewniejszą gwarancją trwałego i sprawiedliwego pokoju.

Czekamy wszyscy na bój i cieszymy się myślą o nim, gdyż jedynie zwycięstwo osiągnięte siłą pokona gwałt, który dziś dławi całą Europę.

Wspólne dążenie, wspólne wysiłki i ofiary zbliżają narody sprzymierzone i są dobrą zaprawą pod przyszły sprawiedliwy ład i pod pokojowe współżycie narodów.

Imieniem armii czechosłowackiej składam wszystkim brytyjskim i sprzymierzonym żołnierzom życzenia pełnych sukcesów bojowych i szczęścia w walce."

Spojrzenie wstecz

III*

Rzućmy wreszcie okiem na tę najnieszczęśliwszą Europę, na tę, którą bezapelacyjnie rządzi dziś Gestapo. Nie daje nam ona jednolitego obrazu—hitlerowcy są inteligentniejsi od urzędników Wilhelma II, którzy wszędzie stosowali jednolite recepty. W zależności od okoliczności, w zależności od planów późniejszych zmienia się traktowanie krajów okupowanych.

“Nowy porządek” europejski, który Hitler chce zaprowadzić niekiedy rysuje się zupełnie wyraźnie, niekiedy kontury jego jeszcze są świadomie zaciemniane.

POLSKA

Tym krajem, w którym “nowy porządek” już został stuprocentowo zaprowadzony jest—Polska. Nie potrzeba było Bożonarodzeniowego oświadczenia Franka, by sformułować, że ten nowy porządek, to sprowadzenie Polaków do położenia rasy niewolników, rządzonych przez Niemców. Brak szkół, grabież mienia polskiego, mordowanie polskiej inteligencji głośno o tym krzyczały od dawna. Bliżej rozważać sytuacji Polski na łamach “Polski Walczącej” nie trzeba: każdy z czytelników zbyt dobrze wie, co się u nas dzieje. Podkreślmy więc raz jeszcze tylko jedno. Jeżeli położenie Polski jest najbardziej tragiczne, to jednocześnie jest ono godne największej dumy: nigdzie Niemcy nie spotkali się z tak jednomyślnym i tak twardym oporem, jak właśnie w Polsce. I gdy nadejdzie chwila porachunku, to Polska znowu będzie gotowa, jak była gotowa pamiętnego listopada 1918.

CZECHOSŁOWACJA

Czechy i Słowacja są już w położeniu lepszym. To, że na zamku w Hradczynie siedzi Hacha, który od czasu do czasu winszuje Hitlerowi jego zwycięstw, że w Bratysławie siedzą Tiso i Tuka, wierne sługi hitleryzmu, zmusza poniekąd Hitlera do utrzymywania pewnych pozorów normalności. Cel jednak ostateczny jest ten sam. I Czesi tak samo, jak Polacy w “nowym porządku” hitlerowskim przeznaczeni są do odgrywania roli niewolników. Czeskie szkolnictwo wyższe już zostało zlikwidowane, na szkolnictwo średnie zapewne też przyjdzie kolej. Fasada protektoratu, fasada istnienia pewnych władz samorządnych potrzebna jest Hitlerowi, podczas wojny poto by fabryki Skody, by fabryki Baty mogły pracować normalnie. Po wojnie żadne Hachy już by nie pomogły, gdyby Hitler miał zwyciężyć.

DANIA

Takie same różnice w prowizorycznym traktowaniu krajów, które w końcu ma czekać los jednakowy w ramach “nowego porządku” hitlerowskiego odnajdujemy i w Skandynawii. Do Danii Hitler wszedł prawie bez oporu. Jedynie jeden pułk pograniczny bił się przez parę godzin. Król i rząd skapitulowali. Danię więc tymczasem się oszczędza. Król nadal siedzi na zamku, nadal prezesem Rady Ministrów jest stary socjalista, “marksista” Stauning. Istnieją nadal partie i związki zawodowe. Istnieje cały duński aparat administracyjny. Gestapo jest prawie niewidzialna. I patrzy bez sprzeciwu na to, jak duńska policja aresztuje manifestujących nacjonal-socjalistów duńskich. Danie formalnie traktowana jest przez Niemcy, jako kraj niepodległy, chwilowo przez wojska niemieckie okupowany.

Znowu poza tą fasadą dzieją się rzeczy niebardzo z nią zgodne. Przede wszystkim ta “niepodległa” Dania została przez Niemców doszczętnie obrabowana. Wszystkie zapasy zostały wywiezione do Niemiec i zapłacone nie walutą, a bezwartościowymi świstkami markowymi. Ciągle z Danii idzie do Niemiec eksport, za który duński bank państwowy musi płacić koronami eksporterom, otrzymując wzamian markowe zobowiązania niemieckie, tak że Dania, której finanse niegdyś były w stanie kwitnącym jest już bankrutem. Niszczy się nie tylko teraźniejszość, niszczy się i przyszłość. Dania, eksporter produktów mlecznych i bekonów, musiała wymordować blisko połowę swego bydła i blisko połowę swych świń, nie tylko dlatego, by napchać żołądki niemieckie, ale i dlatego, że nie miała skąd przywozić, paszy dla wyżywienia inwentarza.

A i na prasie i na radiu duńskim już Gestapo położyła swą łapę. W “nowym zaś porządku” europejskim nie będzie miejsca dla wolnej i niepodległej Danii. Ma ona należeć—mówią to wyraźnie pisma niemieckie—do niemieckiej przestrzeni życiowej. To znaczy że nie tylko standard życia duńskiego będzie musiał być obniżony do wysokości standardu niemieckiego, a raczej poniżej (naród panów musi wszak żyć lepiej, niż narody podwładne). Ale to znaczy także, że w imieniu Niemców Danią by rządzili, ci właśnie, których jeszcze dziś Gestapo pozwala Stauningowi aresztować: nacjonal-socjaliści duńscy.

NORWEGIA

Że takie są zamiary Hitlera, na to wskazuje zupełnie wyraźnie rozwój sytuacji w Norwegii. Początkowo Hitler łudził się, że uda mu się rządzić w Norwegii przez swoich Norwegów. Quisling, którego imię stało się dzisiaj już rzeczownikiem pospolitym, miał być jego namiestnikiem. Bardzo szybko jednak Niemcy przekonali się, że lud norweski na Quislinga nigdy się nie zgodzi. Zjawił się więc Niemiec, jako gauleiter i szef administracji cywilnej, Terboven. Jednak i wtedy jeszcze władze niemieckie próbowały, czy nie dało by się utrzymać pozorów rządów norweskich. I istotnie udało im się przekonać część prezydium parlamentu, część osobistości norweskich, że dla kraju będzie lepiej, jeśli się da osiągnąć kompromis. 29 lipca 1939 roku—to jest w chwili gdy upadek Francji zdemoralizował znaczną część opinii—prezydium Stortingu wystosowało list do króla Haakona z żądaniem abdykacji i oświadczeniem, że wobec nieobecności rządu wyznacza samorząd nowy.

Ten nowy rząd kompromisowy nie potrwał jednak długo. Ludzie, którzy go składali nie zechcieli wykonać poleceń władz okupacyjnych, poleceń, zmierzających od razu do zupełnego zgleichszaltowania Norwegii. To też został on szybko zastąpiony przez rząd Quislinga. Quisling oczywiście skwapliwie spełnił wszystkie żądania. Posiadanie portretu królewskiego jest dziś zbrodnia, partie przestały istnieć, Norwegia przejmuje wszystkie ustawy nacjonal-socjalistyczne. I już oficjalnie mówi się o tym, że będzie ona po prostu prowincją Wielkich Niemiec, jako kraj rasowo niemiecki. (Czy samodzielność języka norweskiego będzie utrzymana, czy też będzie on po prostu uznany za dialekt, o tym się jeszcze nie mówi.)

HOLANDIA

W Holandii Gauleiter Seyss Inquart również próbował z początku stworzyć pozór samodzielności. Zaproponował byłemu premierowi Colijnowi, który miał dążności silnie autorytatywne, aby stworzyć jednolitą partję holenderską. Gdy jednak Colijn jako warunek postawił, że jednym z punktów programu będzie wierność dynastii holenderskiej, rokowania się urwały. O tym bowiem, by w Holandii miała rządzić dynastia Oranie Hitler nie chce słyszeć. Holandia także ma być częścią Wielkich Niemiec.

Jednak w Hadze nie powtórzono doświadczenia norweskiego. Holenderski Quisling—Mussert—wciąż jest w opozycji—nie do rządu, bo go nie ma, ale do zarządu Holandii. Ten zarząd wewnętrzny bowiem okupanci pozostawili w ręku urzędników holenderskich. Tyle tylko, że nad nimi jest Seyss Inquart i Gestapo, i że Niemcy, choć Mussertowi nie dali władzy, jednak wszędzie tworzą swoje placówki.

Tak na przykład burmistrz Hagi został usunięty, prasa jest pod zarządem *Pressekammer*, gdzie siedzą Niemcy, partia socjalistyczna otrzymała z ręki Niemców nowego prezesa—nacjonal socjalistę Rost van Tonningen—który z tego tytułu objął w posiadanie i kasę stronnictwa i jego pismo; tak samo majątek związków zawodowych objął inny nazi, Woldenberg, jako mianowany prezes.

To więc, że celem ostatecznym jest, “zgleichszaltowanie” zupełne Holandii, oraz wcielenie jej do Rzeszy nie ulega żadnej wątpliwości.

Dużo mniej jasno przedstawia się rola wyznaczona w “nowym porządku” Belgii i Francji.

BELGIA

W Belgii Hitler znalazł od razu wielu swoich ludzi. Nie potrzebował zupełnie uciec się do swego oficjalnego ajenta, przywódcy rexistów, Degrelle'a, który zbyt był skompromitowany, jako jawny zdrajca, bo miał lepszych ludzi. Jako hitlerowiec zdemaskował się prezes partii socjalistycznej de Man, do hitlerowców przymknęli od razu aktywiści flamandzcy, ci sami, którzy 1914-1918 roku współpracowali z von Bissingiem. Jednak nie wydaje się, by Hitler—po za faworyzowaniem ruchu flamandzkiego i oczywiście poza zwykłym i normalnym obrabowaniem Belgii—poczynił jakieś wyraźne posunięcia polityczne.

Niewyklarowana jest nawet sytuacja króla belgijskiego, o którym nie wiadomo, czy jest jeńcem, któremu nie wolno rządzić, czy człowiekiem, który nie chce rządzić. Były wieści o tym, że Leopold widział się z Hitlerem—wieści niepotwierdzone.

Wskazuje to wyraźnie na to, że los Belgii jest zależny od losu Francji. Jakkolwiek by jednak wyglądały w razie zwycięstwa hitlerowskiego plany Hitlera co do Belgii, czy będzie on kusił króla Leopolda perspektywą “Wielkiej Flandrii” obejmującej i Holandię i północne departamenty francuskie (to było marzeniem aktywistów flamandzkich), czy będzie groził podziałem Belgii miedzy Francję i prowincję holenderską Wielkich Niemiec, pewne jest, że i dla niepodległej Belgii w planie “nowego porządku” nie ma miejsca.

FRANCJA

Jeszcze mniej jasne są ostateczne zamiary Hitlera co do Francji. Francja była krajem najbardziej przez niego znienawidzonym. Stronice “Mein Kampf” wprost zieją tą nienawiścią. Francja miała stracić kolonie, miała stracić na rzecz Włoch swe prowincje śródziemnomorskie, a na rzecz Niemiec “odwiecznie niemieckie ziemie” Lotaryngii, Szampanii i Burgundii. Dzisiaj zaś Francja ma “współpracować” z Niemcami w ramach “nowego porządku,” utraciwszy jakoby jedynie Alzację i Lotaryngię, z których wysiedla się Francuzów przymusowo. Francja miała być LunaParkiem Europy-dziś mówi się tylko, że ma się ją nieco odprzemysłowić, a bardziej podnieść rolniczo.

I nie tylko otwarci zdrajcy, ale nawet uczciwi ludzie uwierzyli w możliwość istnienia niepodległej Francji w ramach hitlerowskiej Europy i zaczęli Francuzom tłumaczyć, że zdrowiej i lepiej im będzie, gdy się na to zgodzą. Jednak coś się popsuło. Widocznie zorientowano się w Vichy, że te różowe perspektywy są złudzeniem, że Hitlerowi idzie jedynie o to, by dzisiaj Francję wciągnąć do walki z Anglią, i że żadnych gwarancji co do stanowiska Francji w hitlerowskiej Europie nie ma.

Tak przynajmniej, wydaje się, należy tłumaczyć ten dziwny kryzys gabinetowy w Vichy, gdzie nagle usuwa się Lavala, by miejsce jego dać jeszcze bardziej zdecydowanemu hitlerowcowi Flandinowi, a Lavala uwalnia Abetz. Idzie w tej chwili we Francji jakaś dziwna, bardzo zawikłana gra, której stąd jeszcze całkowicie odczytać nie można.

Jedno tylko wydaje się pewne: to to, że Francja zaczyna się budzić. Gdy nastąpiła kapitulacja, to jednostki jedynie się temu opierały. Większość znaczna widziała jedynie upragniony koniec wojny. Wystarczyło jednak paru miesięcy okupacji niemieckiej, która przede wszystkim zaznaczyła się obrabowaniem Francji ze wszystkiego, by Francuzi zrozumieli, co ich ta kapitulacja kosztuje. Wystarczyło paru miesięcy rządów Gestapo, by Francuzi zrozumieli, co warta jest wolność. I jeżeli Vichy dziś się opiera niektórym żądaniom niemieckim, to dlatego, że Pétain słyszy groźne pomruki idące z dołu, ze sfer robotniczych, ze sfer studenckich. Już były rozstrzeliwania w Paryżu, już mnożą się aresztу.

FRONT OKUPACYJNY I ZAGROŻONE TYŁY

Bismarck powiedział, że bagnetami można zrobić wszystko, tylko nie można na nich długo siedzieć. Wiek XX-y zadał kłam temu twierdzeniu. Władze dyktatorskie wieku XX-ego mogły bezkarnie uciskać ludność. Nie siedziały bowiem na bagnetach, ale w tankach i w aeroplanach, gdzie siedzi się zupełnie wygodnie. Mówiąc prostymi słowy, rewolucje były możliwe, póki broń powstańcza równała się mniej więcej uzbrojeniu wojska, póki broń powstańcza równała się mniej wiecej uzbrojeniu wojska, póki barykady w mieście trudno było zdobywać. Dzisiaj powstanie ludności cywilnej jest beznadziejne.

Ale w tym tanku, czy aeroplanie musi jednak ktoś siedzieć. I tym się tłumaczy, dlaczego Hitler nie oddał władzy Mussertowi w Holandii, dlaczego król duński spokojnie przebywa w swoim pałacu, dlaczego kokietuje się i Francuzów i Belgów, dlaczego jeden z ajentów Hitlera w Norwegii doradzał ostatnio zamordowanie Quislinga, które miało ułatwić nowe próby porozumienia się z Norwegami, dlaczego wreszcie Hitler tak długo i tak uporczywie szukał polskiego Quislinga.

Dla Niemiec, które prowadzą wojnę, każdy Gestapowiec zastąpiony miejscowym człowiekiem wzmacnia front, każdego karabinu maszynowyego, czy tanku który musi pilnować Warszawy, by nie powstała, może braknąć na froncie. Nastroje więc ludności w krajach okupowanych są również elementem, który należy włączyć w rachunek, gdy się mówi o szansach wojny. Poddanie się oznacza zabezpieczenie tyłów hitlerowskich na wypadek, gdy wojna rozgorzeje na kontynencie z powrotem—wrogość ludności to zagrożenie tych tyłów, odciągających wojska z frontu. Powstanie ludności w chwili, gdy toczy się walka na froncie może mieć olbrzymie znaczenie.

BROŃ NIENAWIŚCI

Z prawdziwą radością więc stwierdzić należy, że nigdzie, ani tam, gdzie Gestapo niszczy i morduje bez litości, jak w Polsce, ani tam gdzie działa w rękawiczkach, Niemcy pewnie czuć się nie mogą.

O Polsce nie ma co mówić. Ale w tej samej Norwegii, gdzie były próby porozumienia obecnie cały Sąd Najwyższy podał się do dymisji, bo nie chciał uznać Quislingowskich praw. W ciemne noce niedobrze jest Niemcom i nacjonal-socjalistom norweskim pokazywać się na ulicy. Grozi im obicie, jeżeli nie co gorszego. I jakieś dziwne lawiny niszczą tory kolejowe.

Ten sam głuchy, zacięty opór spotykają Niemcy i w Holandii. Holendrzy są narodem spokojnym, flegmatycznym. Ale same gazety niemieckie muszą przyznać, że Niemiec w Holandii spotyka się jedynie z pogarda. I te same gazety niemieckie oskarżają Holendrów o porozumiewanie się z Anglią i dostarczanie wiadomości sztabowi angielskiemu.

Zaczyna wrzeć we Francji. I Gestapo i policja rządu w Vichy mają pełne ręce roboty. Co raz więcej Francuzów nie tylko życzy sobie zwycięstwa angielskiego, ale zaczyna dla niego pracować.

Hitler panuje dzisiaj od Arktyki do granicy hiszpańskiej, panuje od Bałtyku do Morza Czarnego. Ale wszystkie narody, nad którymi panuje połączone są jednym uczuciem: wspólną nienawiścią. Dzisiaj nienawiść ta jest głucha, zduszona. Przejawiać się może jedynie sporadycznie, aktami sabotażu, pojedynczymi zamachami.

Niech jednak Europa z powrotem stanie się frontem, a nienawiść ta wybuchnie płomieniem, który tak samo będzie groźny dla wojsk hitlerowskich, jak te sprzymierzone siły wojskowe, z którymi będzie musiał się w ostatecznej walce potykać.

Czesław Poznański

* Jest to trzeci i ostatni artykuł tego cyklu omawiający sytuację w krajach czasowo podbitych. Dwa poprzednie artykuły omawiały sytuację strategiczną (nr. 41/42 z 1940) oraz sytuację dyplomatyczną (nr. 1 z 1941).

Książka dwu żołnierzy

Sygnalizujemy ukazanie się książki “*The fight for Narvik, Impressions from the Polish campaign in Norway*” (wydawnictwo Lindsay Drummond, 6, Buckingham Street, London, cena 5sh.). Jest to wspólna praca dwu żołnierzy, uczestników kampanii w Norwegii: Karola Zbyszewskiego, który opowiedział prosto i żywo ten żołnierski epizod i Józefa Natansona, który z tym opowiadaniem połączył kilkadziesiąt wymownych rysunków, dających dobre wyobrażenie o tym dalekim, górskim, śnieżnym kraju, uciskanym jak Polska, walczącym jak Polska i jak ona zroszonym już polską krwią.

Ta praca, jej pomysł i wykonanie wystawia chlubne świadectwo żywotności i przedsiębiorczości polskiego żołnierza. Umie się on wyrzec wszystkiego dla walki z bronią w ręku, a wtedy, gdy nie walczy, umie się zdobyć na twórczy wysiłek o dużym propagandowym znaczeniu i trwałej wartości dokumentu.

W niedługim czasie omówimy tę książkę obszerniej. Tymi kilku słowami chcemy zwrócić na nią uwagę i gorąco polecić wszystkim kolegom, którzy poszukują książek do ofiarowania swoim brytyjskim przyjaciołom. Każdy z nich powinien poznać tę polską bitwę o Narwik, opowiedzianą w ich języku, zilustrowaną rysunkiem, który jest mową międzyludzką, mową tych, którzy mają jednako skierowaną wyobraźnię i serce bijące podobnym rytmem.

tt

Z życia obozów

Wilia u karabiniarzy

Rano, dnia 24 grudnia, pobudka ak zwykle. Po śniadaniu pokaz ratniej broni artyleryjskiej. Tak rogramowo—zeszedł czas do po- ıdnia.

Południe. Jesteśmy zarówno ompanią służbową, jak i normalie pracującą na odcinku. Więc eden pluton idzie na placówkę; rugi do służby wewnętrznej. eszta, jaka została, kończyła ośpiesznie ozdabiać salę jadalną zabrała się do generalnych, statecznych porządków w rejoach zakwaterowania.

Przestronna sala jadalna, staaniem "Hieronimka" i jego kogów z plutonu—nabrała szaty rawdziwie odświętnej. Rozmaite stęgi, girlandy, łańcuchy koloowe. Dwubarwne chorągiewki. rytyjski *Union Jack* i Lew zkocki, i historyczne barwy nazego miejsca postoju. A ponad ym wszystkim wysoko w górze znosi się na szczytowej ścianie asz Orzeł Biały, udatnie namaowany przez wspomnianego Hieronimka."

O oznaczonej godzinie, wokół tołów biało nakrytych, zastawioych nie menażkami, lecz, jak rzez mgłę rozpoznawanymi talezami, szklankami, talerzykami—asiadła brać karabiniarska. Nie edług drużyn i plutonów. Tylko ak, w ogólnym przemieszaniu, edług przyjacielskiego dobrania.

Żołnierska wilia Roku Pańskieo 1940! Pamiętamy inne wilie. tę na uchodźczym wygnaniu w lrodze do Francji z przed roku, te szczęśliwe wilie z przed wielu, vielu lat we własnym domu, w Polsce. Każdy z nas patrzy w dal, oza siebie. Gdzież myśl indziej zaglądа, jak nie do Polski, cierpiącej za górami, za tyloma rzekami, przez które tyle krwi wroga nusi się przetoczyć, aby mogła je swobodnie i radośnie przestąpić stopa polska. Każdy z nas widział w tym dniu—swoich; najbliższych. Tam, w Polsce. . . . Czy mają wilię i jaką? Czy w ogóle mają co jeść? I jawiła się temu ub owemu twarz matki, twarz żony, twarz dziewczyny kochanej; twarz brata, ojca, przyjaciół. . . . Jakby z pobliża patrzały dobre, najlepsze oczy Matki, błyskały jej siwe włosy, choć niewiadomo, czy matczysko żyje, gdy ustawiczny brak bodaj skromnej wieści. . . .

Zasiadamy do biało krytych stołów, tacy ciężcy, sztywni, zamyśleni, zapatrzeni, daleko, hej, daleko. . . . Przed każdym z nas, obok nakrycia, bieluśka, prostokątna koperta. A w kopercie—karton podwójnie złożony. Na wierzchniej kartce: Orzeł Piastowski. Dobry to znak Orzeł Piastowski w przededniu rozprawy z wrogiem Mieszków, Bolesławów i Władysławów. U spodu kartki czerwieni się zespół liter: "*Poland's Armed Forces Comforts Fund.*" Otwieram kartonik. Na pierwszej wewnętrznej stronie słowa:

"Wesołych świąt w moim kraju i oby Nowy Rok za pozwoleniem Bożym zaprowadził Was do Waszych domów. Życzy Dorothy Warrender."

Na sąsiedniej stronie portrecik pani w mundurze. Lady Warrender, znana nam jeszcze z francuskich czasów—opiekunka polskiego żołnierza. Niezapomniana, ona lotna kantyna z Coëtquidan. Kantyna Lady Warrender. Gdzie mogłeś, żołnierzu polski, ledwo do Francji przybyły, znaleść wszystko, aby ci łatwiej, dogodniej było żołnierskie życie toczyć. . . .

Bóg ci zapłać, Czcigodna Lady, szepczą serca żołnierskie za słowo dobrych życzeń. . . !

Puszczamy między sobą w kurs one karteluszki, nizając na nie podpisy. Ot, tak po prostu, tak na pamiątkę tegorocznej wilii żołnierskiej. Wilii u karabiniarzy.

Naraz u wejścia gwar cichnie.

—Baczność!

Wchodzi pułkownik "Dziecino," a to dla często przezeń używanego dobrotliwego zwrotu. Na przykład. Na strzelnicy:—"Dziecino, mierz niżej, Dziecino." Przy raporcie: "Dziecino, tłumacz się jaśniej, Dziecino." Przy wizytacji stanowiska: "Dziecino, wytłumacz mi położenie ogni, Dziecino."

Wchodzi pułkownik i rozpoczyna się wzajemne dzielenie opłatkiem. U wstępu modlitwa, staropolskim zwyczajem w asyście księdza kapelana. Przy honorowym stole siedzi też i "Myszka," świetliczarka. Nasz kapitan autorytatywnie zaznacza, że to raczej "Ciocia" a nie "Mamusia." Mamusią kompanii jest szef, a Ojcem—dowódca. Wiara żołnierska wierzy kapitanowi na słowo honoru. Wybuchami śmiechu akceptuje ową "Ciocię."

Ceremoniał dzielenia się opłatkiem był bardzo prosty, nieskomplikowany a serdeczny. Pułkownik, kapitan, oficerowie łamali się opłatkiem z wiarą żołnierską. Wiara karabiniarska łamała się opłatkiem i między sobą, i ze swymi dowódcami pospołu. Nie było słów daremnych. Nie było pompatycznych życzeń. Oczy i usta bez słów wypowiadały, co trzeba. Bo, zresztą, czyż nasuwała się potrzeba formułowania jakichkolwiek życzeń? Zbędne do wypowiadania, a tak potrzebne, że niby poco powtarzać.

Żeby Niemca rozłożyć. Żeby mu za wszystko dać pamiętną zapłatę. Żeby mimo wszystko do Polski wrócić. By móc swe miasto, swą wioskę zobaczyć. Przywitać swoich. Przed Matką uklęknąć. Żonę ucałować. Dzieci po głowinach pogładzić. By odtąd żaden najeźdnik nie panoszył się bezkarnie na polskiej ziemi. By Polska i Polacy mogli spokojną, twórczą pracą, w murach swego narodowego domu—oddziaływać na rzecz kultury i cywilizacji.

Nikt tych życzeń nie wypowiadał. Bo—poco? I tak całkiem wyraźnie a naturalnie widniały na ustach wszystkich obecnych, wyglądały ze spojrzeń, z zamyślenia, jakie malowało się na obliczach.

Potem — uroczystość przeszła normalnym trybem. Potrawy. Więc barszcz i ryba, wino, keksy. Otrzymaliśmy, każdy z nas, po dwie paczki, dary Czerwonego Krzyża. Ciepłe odzienie i łakocie. Który nie który stał się naraz posiadaczem trzech świeżych par skarpet, nowego szalika, cieplej-

Następnie—zagaszono elektryczne oświetlenie sali. Zajarzyła się światłami choinka, skromnie wyczekująca na swoją chwilę w rogu. Paliły się na choince światła. Szedł od drzewka zapach jedliny. A usta wiary karabiniarskiej śpiewały a śpiewały kolendy za kolendami.

"Bóg się rodzi moc truchleje. . . ."

"Przybieżeli do Betlejem. . . ."

"Lulajże Jezuniu, lulajże lulaj, a Ty Go Matulu, w płaczu utulaj. . . .

Utulaj Go, Matulu Święta, w płaczu, ma bowiem dzisiaj rozdzierające do płaczu powody. Utulaj Go starannie. Wszakże dopiero wówczas Go dostatecznie a należycie utulisz, kiedy za naszą sprawą owa zła moc niemiecka nareszcie struchleje. Nie nadarmo przybieżeli do Betlejem nasi strzelcy karpaccy. . . .

Szła kolenda za kolendą z ust karabiniarskiej wiary. Temu i owemu opadała—wstydliwie łza, bo nieborak tułacz chciał jeno sprawdzić, czy głos jego żołnierski jest słyszany, przez tych tam, co w Polsce są!

W międzyczasie—"nasz" generał, w towarzystwie kapitana dowódcy kompanii zjechał na odcinek, złożyć życzenia i podzielić się opłatkiem z czuwającymi na swoich stanowiskach, karabiniarzami.

Albowiem—święto świętem. Zapewne. Ale i wojna wojną. Jest obowiązkiem bacznie czuwać na posterunku, bo wróg, wróg silny, chytry, podstępny, śmiertelny, gotów każdej chwili do najazdu na wyspy wolności. No, i my jesteśmy każdej chwili gotowi też—dla poświadczenia mu naszej wiary, że wolność obroni się przed złą mocą. Nie tylko się obroni!

Przybył generał na odcinek. A tam już zgrupowana wiara karabinarska zameldowała się jak należy. Na pierwszej linii, w tym dniu uroczystym, też żarzyło się drzewko choinkowe. Też krążył z rąk do rąk opłatek.

szego swetra.

I niejednemu szkliły się oczy. A życzenia były te same. Nienazywane, ale jedyne i powszechne. Gdziekolwiek by był bowiem i czuwał na szańcu wolności żołnierz polski—miał w ową wilię jedno niezłomne życzenie. Sprawiedliwego porachunku z wrogiem. Póki tchu w piersi. Póki karabin w ręku.

Kapitan dowódca odwiedził tej nocy wszystkich karabiniarzy, pełniących służbę. I tych, co czuwali przy garnizonie; i tych, co czuwali przy sympatycznym mechaniźmie, jaki może nader łatwo nieproszonych gości na brytyjski brzeg—posłać sposobem nowoczesnej techniki do ich ideowego mocodawcy z czeluści piekielnych.

O północy była w garnizonie pasterka. Jak mistyczne bractwo—schodziło się żołnierstwo z całego miejsca postoju do kościółka nad morzem, w którym zgodnie z rodzimym naszym zwyczajem i tradycją—stała szopka, na znak, iż na słomie i sianie—w odległem Betlejem narodził się był Pan Jezus, Chrystus Malusieński. . . .

Ksiądz kapelan odprawił mszę dla obwieszczenia światu, że w judzkiej mieścinie, wedle proroctw Biblii—zstąpił na krąg ziemski: "Zbawiciel, Wszego Świata Odkupiciel." Wszego, a więc i naszego, tak potwornie męczonego przez zjednoczonych wysłanników księcia ciemności, ciemiężących narody, przelewających krew niewinną.

I szły ku stropowi skromnego szkockiego kościółka — kolendy polskie, żołnierskiemi śpiewane usty. Jako suplikacje.

I unosiły się nasze myśli ku dalekim miastom, wsiom, rzekom, borom, polom, zagrodom Polski Najmilszej, Ojczyzny Jedynej. Uszy delikatnie, uparcie dosłuchiwały się, co w tej chwili z kraju dolata?

Czy modły za przyszłość polskiego oręża? Czy tęsknota, bezbrzeżna tęsknota tych, co tam są? Czy nieustanne akty terroru, czynione przez oprawców bez opamiętania? Czy szelest polskiego śniegu i szum polskiego wiatru, jedynych na całym świecie?

Wawrzyniec Czereśniewski

Św. Mikołaj i Gwiazdka dla dzieci szkockich



Pamiątkowe wydawnictwo zawierające plastyczną mapę Polski i serdeczne słowa skierowane przez "Polish Santa Claus" do naszych małych przyjaciół.

Małe miasteczko szkockie, leżące nad brzegiem morza, przeżywało po raz wtóry swój dzień zbratania z wojskiem polskim. Przeżywali te pierwsze chwile starsi w dniu akademii 11-listopadowej, przeżywały je i dzieci w dniu 6 grudnia, kiedy to przyszedł do nich ten zapowiedziany polski święty—*Polish Santa Claus*—Święty Mikołaj.

Skoro wspomnimy, że akademia 11-listopadowa złamała całkowicie chłód i podejrzliwość Szkotów, nie znających dotąd Polaków, to nie trzeba dodawać, że Święty Mikołaj podbił całkowicie i rozżarzył dziecięce serduszka szkockie, a przez nie pogłębił jeszcze serdeczność Szkotów.

Odniesienie tak miłego sukcesu należy zawdzięczać nie tylko projektowi i organizacji wieczoru św. Mikołaja, ale i przede wszystkim całkowitemu zaskoczeniu. Zaskoczenie to polegało znowuż nie tylko na pokazaniu jednego z pięknych zwyczajów polskich w całej swej krasie i barwności, ale i na rozmaitości pięknych pamiątkowych podarków, rozdawanych hojnymi rękami przez polskiego Świętego.

—A więc obok pięknego wydawnictwa z rysunkiem św. Mikołaja, plastycznej mapy polskiej i krótkiego tekstu, otrzymały wszystkie dzieciaki w liczbie 130-u pamiątkowe orzełki polskie, po dwie paczuszki słodyczy i zabawkę. Taką niespodzianką były zaskoczone zarówno dzieci, jak i starsi, którzy również znaleźli się na sali.

Oprócz tego kulminacyjnego momentu bogaty dla dzieci we wrażenia wieczór miał i inne punkty programu, które zostawiły najlepsze wspomnienia w młodych duszach. Oto pod batutą jednego z polskich oficerów małe dzieciaki odśpiewały dwie polskie piosenki: "Płynie Wisła płynie . . ." i "Zasiali górale owies . . ." i odtańczyły "Krakowiaka." Batalionowy chór oficerski do ich pięknych szkockich piosenek, dorzucił parę polskich i szkockich.

Rozbrojona ludność i dzieciaki nie czują już wrażenia pierwszego wzajemnego chłodu, dzisiaj wojsko polskie i społeczeństwo małego miasteczka wydaje się tworzyć jedną rodzinę, której nic nie dzieli a wszystko łączy. Otwarte bramy domów i zadzierżgnięte serdeczne stosunki towarzyskie są najlepszym sprawdzianem wzajemnego serdecznego zrozumienia.

Kto wie, czy przy planowaniu wytycznych naszej propagandy, nie należało by pomyśleć także o rzeczowej i przemyślanej propagandzie wśród dzieci. To wydaje i wyda napewno na przyszłość stokrotne plony. Sprawa jest otwarta i należy się jej przyjrzeć z bliska i sprowadzić na realne tory.

Ł.B.

Polscy żołnierze, samotni, bez rodzin, w obcym ale gościnnym dla nich kraju podejmowali w okolicach Kirkcaldy 2,000 szkockich dzieci i—jak pisze szkocki dziennik — "poprzez czystą radość tych małych przyjaciół przypomnieli sobie radosne chwile spędzone kiedyś w Polsce."

Działo się to w szkockim miasteczku, w sali kina zapełnionej po brzegi dziećmi i ich rodzicami. Uroczystość zaczął kpt. C. krótkim przemówieniem, w którym tłomaczył małym słuchaczom, że będąc zdala od swych własnych dzieci, polscy żołnierze tym bardziej są wdzięczni za serdeczność dzieci szkockich, która wyraża się chociaż by w takich drobiazgach, jak mówienie po polsku "dzień dobry." Dzieci głośno i serdecznie podziękowały za te krótkie i wzruszające słowa, które przetłomaczył im sergt. Trypka z Y.M.C.A.

Po wytłomaczeniu, że zwyczaje świąteczne w Polsce są trochę inne, aniżeli tutaj w Szkocji, pokazano wspaniały żywy obraz. Pośrodku siedziała Matka Boska, z Dzieciątkiem w żłobku, obok niej św Józef, dookoła nich pełno było aniołów ustawionych na stopniach, które prowadziły do olbrzymiej choinki pełnej świateł. Na przodzie przyświecała ogromna gwiazda betejemska. Wzruszenie ogarnęło wszystkich, gdy przy wręczaniu darów Dzieciątku pojawiło się także dwu polskich żołnierzy z czasów poprzedniej wojny, którzy dziękowali za ocalenie wszystkich Polaków i wyzwolenie ojczyzny od jarzma niewoli. Po nich przyszło dwu żołnierzy polskich z obecnej wojny, w towarzystwie szkockiego chłopca, w spódniczce szkockiej, który przyniósł w darze mały aeroplan, prosząc o łaskę dla wszystkich polskich, brytyjskich i sprzymierzonych lotników, walczących teraz przeciwko barbarzyństwu niemieckiemu.

Przez cały czas chór żołnierzy polskich śpiewał pieśni świąteczne i kolendy. Pod koniec dołączyły się do tego dzieci siedzące na sali i odśpiewały jedną ze starych kolend angielskich. Gorące oklaski pokazały, jak bardzo spodobało się i ujęło za serce małych Szkotów to przedstawienie. Kostiumy były bardzo pięknie wykonane i czuło się, że każdy szczegół był z miłością obmyślany i przygotowany, nie wyłączając nawet żywej owcy, którą pastuszkowie do stajenki przyprowadzili.

Po tej pierwszej "oficjalnej" części programu rozpoczęło się wspólne śpiewanie różnych pieśni i piosenek, że "ściany się trzęsły," aby znowu zacytować sprawozdawcę szkockiego dziennika. A już końca nie było radości i zachwytom, gdy św. Mikołaj i różne postacie ze szopki razem z żołnierzami zeszły na salę i zaczęły wręczać wszystkim dzieciom torebki ze słodyczami. "Trudno powiedzieć kto więcej się tym wszystkim cieszył—dzieci z otrzymanych darów, czy też żołnierze, widząc radość swych małych gości."

Na zakończenie pokazano dzieciom jeszcze dwa filmy, poczem jedna z postaci szopki ku ogromnej radości całego audytorium wygoniła z sali diabła, który się zjawił, tłomacząc, że nie ma dla niego miejsca w tym czarującym miasteczku nawet na najkrótszy okres czasu.

Gdy nakoniec Dyrektor szkoły p. Francis Binnie podziękował kolejno wszystkim żołnierzom i oficerom za to serdeczne przyjęcie, dzieci przy każdym wymienionym wznosiły trzy głośne "cheerio" które szczególne serdecznie i głośno rozbrzmiało gdy dyrektor zaproponował okrzyk na



Ulotka rozdawana dzieciom w czasie przedstawienia. Prócz tego obrazka zdobiły ją barwy Polski i Wielkiej Brytanii oraz napis; "Learn to know Poland and you will love her as we love Scotland." (Poznaj Polskę a będziesz ją kochał, jak my kochamy Szkocję).

cześć polskich dzieci, cierpiących teraz w swej ojczyźnie.

Gdy chór polski zaintonował polski hymn narodowy, wszystkie dzieci podjęły go natychmiast i ślicznie dośpiewały do samego końca. Przy opuszczaniu sali wymienili mali widzowie i żołnierze słynny już teraz znak "thumbs up," a ponieważ sergt. Trypka wytomaczył im, że jednym z głównych składników polskiej mowy jest końcówka "ski," i że ich "cheerio" po polsku powinno brzmieć "cheerioski," cała sala zadrżała od krzyku: "cheerio, cheerio, cheerioski."

Tak skończył się w nastroju ogólnej serdeczności, radości i wzruszenia wieczór zorganizowany z ogromnym nakładem pracy i dużą miłością, przez polskich żołnierzy dla szkockich dzieci.

A. J.

WRÓG NR. 1

W Berlinie i w Rzymie wybuch wściekłości.

"Berliner Boersenzeitung" oficjalny organ von Ribbentropa pisze: "Orędzie to jest bez odpowiednika w historii Ameryki, bez odpowiednika w swej kłamliwości i obłudzie, z którą stara się przedstawić państwa totalitarne jako napastników i wrogów Ameryki."

A następca tronu faszyzmu, Roberto Farinacci, pisze w "Regime Fascista": "Roosevelt jest wrogiem publicznym numer 1 sprawiedliwości i pokoju. Talmud uczy Żydów że nie powinni się bać obłudy, jeśli mogą tym skrzywdzić gojów. Roosevelt jest czystej krwi, stuprocentowym Żydem, jakeśmy to nieraz stwierdzali, ogłaszając jego drzewo genealogiczne" (Zbyteczne chyba jest stwierdzić, że Farinacci kłamie. Roosevelt jest pochodzenia holenderskiego, rodzina jego należy do arystokracji Stanów Zjednoczonych).

Ta wściekłość hitlerowców i faszystów, która każe Rooseveltowi oddać to miejsce wroga numer 1, które dotąd bezapelacyjnie, od pierwszej chwili wojny, zajmował Winston Churchill, dowodzi, że i w Berlinie i w Rzymie zrozumiano znaczenie ostatnich posunięć Prezydenta Stanów. Dowodzi także, że zdano sobie sprawę z niemożliwości dalszego ukrywania przed narodem włoskim i niemieckim faktu, że do koalicji antyfaszystowskiej przyłączyła się obecnie i potężna republika zaoceaniczna. I Rzym i Berlin tym samym więc przyznały, że kości są ostatecznie rzucone, że słuszność mają ci komentatorzy amerykańscy, którzy stwierdzają, iż obecnie Stany Zjednoczone już nie są neutralne.

SŁOWA—CZYNY

A przecież formalnie sytuacja nie uległa zmianie. Ani Stany nie wypowiedziały wojny Niemcom i Włochom, ani nawet nie zerwały stostunków dyplomatycznych. Stało się to jedynie, że d.29 grudnia 1940 prezydent Roosevelt wygłosił przez radio "pogadankę przy kominku," a 6-go stycznia 1941 w dniu, gdy po raz pierwszy zebrał się nowy Kongres odczytał orędzie do Kongresu.

Te dwie mowy zatem zmieniły sytuację. Dwie mowy, które są czynami historycznymi.

WSPÓLNY FRONT

Pierwsza z tych mów nazywała się "pogadanką przy kominku." Ta nazwa określa jej charakter. Roosevelt w tej pogadance nie odkrywał żadnych swych planów. Po prostu jako pierwszy obywatel Stanów w sposób jasny i przystępny charakteryzował sytuację obecną, starał się przekonać naród amerykański o tym, że wojna obecna jest i jego wojną, że niebezpieczeństwo grozi i jemu, że zwycięstwo Hitlera i Mussoliniego byłoby

Gdy Roosevelt mówi

katastrofą nietylko dla Europy, ale i dla Ameryki.

Cytował słowa Hitlera i na zasadzie oświadczeń Führera stwierdzał, iż "oś oświadcza, że nie może być ostatecznego pokoju między ich filozofią rządów a naszą filozofią rządów." I dodał: "W chwili obecnej siły państw, które się połączyły przeciw wszystkim narodom, żyjącym w wolności są zatrzymane zdala od naszych brzegów. Niemcy i Włosi są zablokowani z drugiej strony Atlantyku przez Brytyjczyków i Greków i przez tysiące żołnierzy i żeglarzy, którym udało się wydostać z państw podbitych. W Azji Chińczycy w innej wielkiej wojnie obronnej powstrzymują Japończyków. Na Pacyfiku jest nasza flota."

Zatrzymajmy się na chwilę nad tym ustępem. Wszakże jeżeli Roosevelt jednym tchem jako siły powstrzymujące pochód totalizmów wymienia wojska brytyjskie, greckie, polskie, norweskie, chińskie i *flotę Stanów Zjednoczonych* to tego nie można inaczej tłomaczyć, jak jako proklamowanie aliansu. Tym bardziej, że przecież oświadcza on, iż te wojska właśnie powstrzymują wroga zdala od brzegów Stanów. I dalej w sposób równie prosty Roosevelt przekonuje swych rodaków, że tak jest istotnie, że Atlantyk dziś nie jest żadną przeszkodą, że o ile Brytania będzie pobita to możliwe jest zajęcie przez Niemców republik południowo-amerykańskich "dla obrony ich przed Stanami," tak jak zajęli Belgię dla obrony jej przed Anglią.

JEDEN WYBÓR—WALKA

Następne ustępy poświęcone są polemice z tymi, co wciąż jeszcze przypuszczają, że byłoby możliwe pokojowe współżycie i pokojowa współpraca Stanów i osi po zwycięstwie totalizmów. Tym ludziom, którzy albo są "potrójnymi zdrajcami" albo nieświadomymi narzędziami Niemiec Roosevelt mówi: "Doświadczenie lat ostatnich dowiodło ponad wszelką wątpliwość, że żaden naród nie może spacyfikować nazich ustępstwami, tak jak nikt nie obłaskawi tygrysa i nie zamieni go w kociaka głaskaniem. Nie może być pogodzenia się z bezdenną brutalnością, nie można dyskutować z bombą zapalającą."

I dalej przestrzega przed złudzeniem, że może być zawarty obecnie pokój "negocjowany." "Nie, dziękuję. Czy to jest pokój negocjowany jeżeli banda opryszków was otacza i zmusza pod groźbą eksterminacji do płacenia haraczu, by uratować własną skórę?"

Trzeba więc walczyć. Te walkę prowadzi dzisiaj Wielka Brytania i jej sprzymierzeńcy. Trzeba im w tej walce dopomóc. Trzeba im dać broń. "Nie pozwólcie defetystom mówić, że jest późno. Nigdy nie będzie za wcześnie. Jutro będzie później, niż dzisiaj."

"ARSENAŁ DEMOKRACJI"

A więc "musimy stać się wielkim arsenałem demokracji." To nie jest wojna. Roosevelt zapewnia nawet Amerykanów, że w ten sposób najłatwiej wojny unikną, natomiast porażka Wielkiej Brytanii to pewna wojna. Ale nawet gdyby pomoc groziła wojną, to nic z tego: "Żaden dyktator, żadna kombinacja dyktatorów nie osłabi naszej decyzji pomocy groźbami, jak oni tę naszą determinację będą interpretowali."

A wreszcie: "Wierzę, że państwa osi nie wygrają wojny. Opieram tę wiarę na ostatnich i najlepszych informacjach. Nie mamy żadnego wytłomaczenia dla defetyzmu. Mamy wszelkie powody do nadziei."

Niewiadomo, co w tej mowie podziwiać więcej, czy zręczność Roosevelta, z którą całe zagadnienie pomocy dla nas stawia jako zagadnienie koniecznej obrony nie tylko ideałów amerykańskich, ale wprost istnienia Stanów, czy to żelazne nieugięte zdecydowanie, które z tej mowy przebija.

Prezydent powiedział swemu narodowi prawdę, prawdę gorzką, ale konieczną. Powiedział im: Nie łudźcie się, już jesteście w wojnie. Inaczej być nie mogło. Starajcie się tylko wszystko zrobić, by tę wojnę wygrać.

AMERYKA W STANIE ZAGROŻENIA

W tydzień potem w posłaniu do Kongresu znajdujemy już inny ton. Do narodu Roosevelt mówił jak obywatel, starający się przekonać współobywateli. Do Kongresu mówił jako Prezydent do tych, co mają jego politykę poprzeć i wprowadzić w życie. Zaczął więc po prostu od stwierdzenia, że po raz pierwszy od roku 1815 Stany są bezpośrednio zagrożone, że pokój zwycięski dla osi byłby dla nich katastrofą, albowiem Stany nie potrafiłyby się oprzeć potędze, która rozporządzałaby wszystkimi zasobami Europy, Azji, Afryki i Australii. Powtórzył swe ostrzeżenie przeciwko świadomym i nieświadomym ajentom niemieckim, lecz w formie znacznie ostrzejszej.

ZERWANIE Z NEUTRALNOŚCIĄ

I w tym orędziu Roosevelt sformułował już zupełnie jasno swą politykę. Zażądał od Kongresu przyjęcia poglądu, iż "Stany uznają, że zasady moralności i wzgląd na ich własne bezpieczeństwo nie pozwolą im nigdy zgodzić się na pokój podyktowany przez dyktatorów, poparty przez "uspakajaczy" (*appeasers*-jest to termin, określający tych co chcieli ratować pokój ustępstwami robionymi Hitlerowi, np. w Monachium). *Wiemy, że pokój trwały nie może być kupiony kosztem swobody innych narodów.*"

Któż tak może mówić? Czy to neutralny stawia warunki, na których pokój może być zawarty? Czy to neutralny może oświadczać, że nie zgodzi się na pokój kosztem Polski, czy Czechosłowacji? Oczywiście nie. Roosevelt stawiając te warunki, doskonale zdaje sobie sprawę, że tym samym angażuje Stany. Nie mówi się bowiem "nie pozwolę," o ile się nie jest gotowym walczyć.

Dlaczego więc nie wypowiada wojny od razu? Odpowiedź jest dana w orędziu. "Najbardziej pożytecznymi będziemy, jako arsenał dla sprzymierzeńców, za równo jak dla nas. Im nie potrzeba ludzi, im potrzeba broni wartości miliardów dolarów."

PROGRAM POMOCY

I w tym miejscu Roosevelt oficjalnie postawił jako program to, co zapowiedział dziennikarzom. Za broń tę sprzymierzeni nie bedą płacić. Płacić będzie teraz Ameryka. "Powiedzmy demokracjom. Nas Amerykanów wasza obrona wolności obchodzi jaknajżywiej. Poświęcimy całą naszą energię, wszystkie nasze zasoby i zdolności organizacyjne, by dać wam siłę, potrzebną do odzyskania i utrzymania wolności w świecie. Poślemy wam co raz więcej okrętów, aeroplanów, tanków i armat. Taki jest nasz cel i nasze zobowiązanie." Czyż trzeba więcej?

I nazajutrz Roosevelt wniósł projekt budżetu. Budżet ten dla wojska i floty przewiduje £6,250,000,000 w ciągu trzech najbliższych lat, ale prezydent zapowiedział, że zapewne będzie on musiał być powiększony. Dziś więc już Ameryka na broń wydawać będzie tyleż prawie, co Wielka Brytania (ostatni budżet wojenny Wielkiej Brytanii wynosi £2,800,000,000).

WSPÓŁDZIAŁANIE DYPLOMATYCZNE

Dodajmy, że nie tylko bronią Stany nas wspomagaja. Są one niezwykle cennym partnerem i w grze dyplomatycznej. Wiemy, że dawniej jeszcze Roosevelt—bez skutku—starał się powstrzymać Mussoliniego. Dzisiaj bierze czynny udział w grze o stanowisko Pétainowskiej Francji. Przyjechał do Vichy jako ambasador Stanów, admirał Leahy, kolega z tamtej wojny i Pétaina i Darlana. I zaledwie stanął na ziemi francuskiej oświadczył dziennikarzom, że przecież każdy wie, iż Stany udzielą Anglii jaknajdalej idącej pomocy, że wierzą w klęskę Niemiec. Czyż oświadczenie to, o którym dzisiaj wie już każdy Francuz nie uniemożliwi otwartym zdrajcom oddania Hitlerowi baz czy floty francuskiej?

Więcej jeszcze. W telegramie noworocznym do marszałka Pétaina, telegramie, który będzie musiał ukazać się w pismach francuskich, Roosevelt wyraził nadzieję, że naród francuski "wkrótce będzie mógł znowu radować się błogosławieństwami pokoju w Wolności, Równości i Braterstwie." Te wielkie litery, którymi Roosevelt podkreślił stary symbol republiki francuskiej, schowany dzisiaj w Vichy pod korcem, mają powiedzieć narodowi francuskiemu, że zwycięstwo aliantów nie tylko przywróci Francji niepodległość, ale i zlikwiduje ten system faszystowski, który Lavalowie pod opieką Hitlera dziś wprowadzili. Roosevelt otwarcie i wyraźnie więc dodaje odwagi tym, co już dzisiaj walczą z faszyzacją Francji.

Stały w Poznaniu i w Pradze czeskiej pomniki Woodrow Wilsona. Niemcy je rozebrali. Staną po wojnie na nowo te pomniki, ale obok nich i w Polsce i Czechach i w Anglii i w Francji i wszędzie, gdzie są ludzie wolność kochający staną też pomniki wielkiego szermierza swobody i demokracji, Franklina Delano Roosevelta.

XXX

Osoby, które cokolwiek wiedzą o losie p. Jerzego Grechowicza-zechcą przesłać adresy do redakcji

Sztychem

DUCH TERMOPILÓW

Rumun się ugiął, Bułgar się waha,
Jugosłowianin ponoć ma stracha,
Turek się także z decyzją leni—
honor Bałkanów niosą Helleni!

Widzi bezczelność włosko-niemiecka,
że jeszcze cnota jest starogrecka:
greckie bagnety kłują, jak jeże—
duch Termopilów swój odwet bierze.

PAN ROOSEVELT

Roosevelta mało lubią w Berlinie
i Rzym mu nie gra na mandolinie,
a Roosevelt teraz jest Stanów pan
i co chce Roosevelt—to każdy Stan!

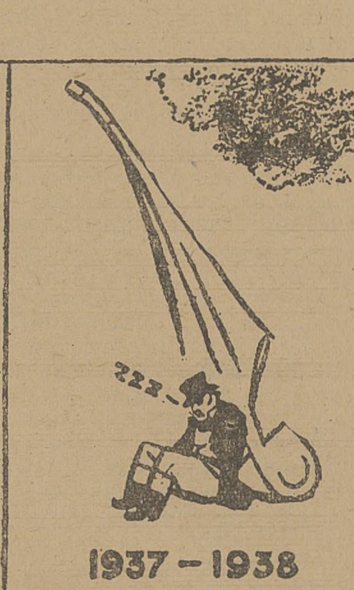
Może oś wstrząsać się, może wzdragać,
a on wie dobrze, komu pomagać.
Gwiaździsty sztandar wzniósł na sam szczyt;
posąg Wolności—to nie jest mit!

ZABAWA W PRZEPUSZCZANIE

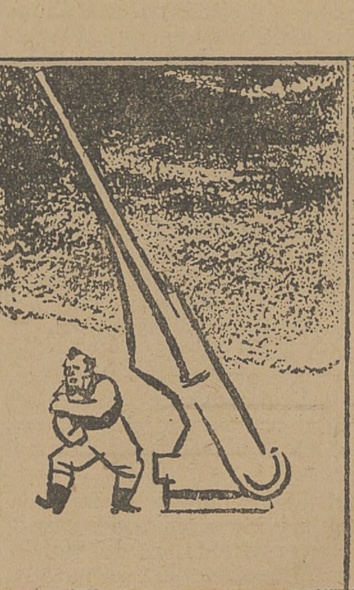
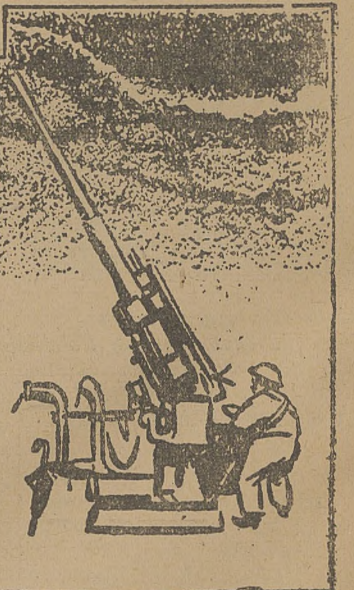
—Stalin, Stalin, stalinowi ludzie,
co wy tu robicie?
—Budujemy mosty,
Niemcom przemarsz prosty.
Dziesięć razy przepuszczamy,
jedenasty zatrzymamy. . .
—Czy naprawdę?
—Myśmy szczerzy
(kto nas nie zna, ten uwierzy)!

Antyk







John Bull się zbudził czyli obrazowe przedstawienie w zrastania nastrojów wojennych w Anglii

SPIS RZECZY:

WYDAJE BIURO PROPAGANDY I OŚWIATY.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. V-e piętro.
Redaktor przyjmuje w soboty od godziny 11-ej-13-ej.
Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: Pierwsza strona—I cal przez jeden łam—sh.13 4d. Pozostałe strony—1 cal przez jeden łam—sh.6 4d. Drobne ogłoszenia—1 cal przez jeden łam—sh.5, pół cala przez 1 łam —sh.2 6d.

Adres Administracji (Business Offices): 5, Portugal Street, W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro. Adres Agenta dla ogłoszeń angielskich (Advertisement Offices) 415, Oxford Street, W.1. Tel., MAYfair 4973.

Printed for the "Polska Walcząca," by St. Clements Press (1940), Ltd., Portugal St., Strand, W.C.2.